

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

W ważnej sprawie.

(O wyższe kursy dla kobiet.)



Nagrodzenie Maryi Skłodowskiej-Curie na konkursie Nobla, wywołało niezmierny zachwyt w naszym społeczeństwie. Cała prasa przez pewien czas upajała czytelników panegiriami na cześć społeczeństwa, które wydało i t. d., i t. d.

Nie można twierdzić, żeby te zachwyty nad własną wielkością były zbyt uzasadnione, o ile bowiem pani Skłodowska-Curie, mogłaby być chlubą każdego społeczeństwa, to jednak nasze nie może poszczycić się w żaden sposób zasługą wydania genialnej chemiczki.

Geniusz pani Skłodowskiej jest raczej dowodem wielkiej dzielności naszych kobiet, które mimo tysiączne przeszkody, jakie im stawia bezmyślność społeczeństwa, rwą się ochoczo do pracy twórczej i nie ustają w niej.

Co prawda, huczek ten, acz nieuzasadniony, przyniósł nam pewną, i to dość znaczną korzyść, poruszył on bowiem spiące umysły i przymusił je do uważniejszego nieco przyjrzenia się ważnej, a tak u nas zaniedbanej kwestyi wykształcenia kobiet.

O ile wszyscy uznają potrzebę wyższego kształcenia młodzieży płci męskiej, uważając wykształcenie średnie tylko za pewną gimnastykę umysłową, umożliwiającą w następstwie właściwą naukę, o tyle dla panny, pensya uważana jest za alfę i omegę wszelkiej mądrości, jaką kobieta osiągnąć może na tym padole „fortepianu i języków.”

To też kiedy brzydka połowa ludzkości nie wiele ustępuje u nas pod względem rozwoju intelektualnego Zachodowi, kobiety nasze

stoją na szarym końcu wielkiego pochodu do światła. A jednak wyższe wykształcenie potrzebnem jest dla kobiety, równie jak dla mężczyzny. Nie zapominajmy bowiem o tem, że celem kobiety jest nie tylko być matką, ale i wychowawczynią przyszłych pokoleń do czego pewnie więcej potrzeba inteligencji, niż do stosunkowo średniego zakresu obowiązków mężczyzny.

Pomijając już to, że żeńskie średnie zakłady naukowe stoją na ogół znacznie gorzej od męskich, powiedzmy, cośmy uczynili, żeby umożliwić naszym kobietom wyższy rozwój umysłowy?

Nie...

Pewna część lepiej postawionych pod względem materyalnym i rodzinnym panien wyjeżdża kształcić się za granicę, ale tych ilość jest nadzwyczaj nieznaczna. Reszta inteligentniejszych kobiet, a takich mimo nieprzychylne warunki nie brak u nas, nie mogąc zadowolić popędu do nauki, całkowicie pograża się w kontemplacji sztuki, przeistaczając się w nader niesympatyczny typ przeczułonej histeryczki.

Nie chciałbym, żeby mnie źle zrozumiano; nie występuję bynajmniej przeciwko zajmowaniu się sztukami pięknymi, twierdząc tylko, że o ile damy nadmiernie wybujać popędem artystycznym, wywołają one pewnego rodzaju zwyrodnienie organizacji psychicznej.

Sztuka jest nieodzownie potrzebną, bez wątpienia, jako pewna, ważna funkcja duchowa ludzkości, o ile jednak absorbuje ona całą duchowość danego osobnika, staje się wtedy nad wyraz szkodliwą.

A tymczasem pozostaje ona jedyną drogą, na której kobieta nasza choć w części zaspokoić może wyższe potrzeby duchowe.

Nauka pozostaje dla niej niedostępna.

Tak wszakże dłużej pozostać nie może. Musimy umożliwić kobiecie naszej wyższy

rozwój duchowy, o ile nie zechcemy sprowadzić społeczeństwa do poziomu *einer minderwertigen Nation*.

Nie jesteśmy społeczeństwem tak biednym, żebyśmy musieli wyrzec się kultury. Starczyło nam środków na stworzenie prawie własnym kosztem politechniki, starczy i na wyższe kursy dla kobiet. Zaczątek funduszu na ten cel mamy już nawet w postaci zapisu Łojki.

Łatwość, z jaką władze pozwalają na otwieranie wyższych kursów dla kobiet w całym Cesarstwie, pozwala nam przypuszczać, że o ile poczynione będą odpowiednie starania, zostaną one uwieńczone pomyslnym skutkiem. Pamiętajmy, że chodzi o rzecz niezmiernie ważną. Tracimy całe legiony sił, które mogłyby przynieść olbrzymi pożytek społeczeństwu. Obecnie najcieńsze nasze umysły kobiece wynaradawiają się na obcych Uniwersytetach, lub też nie znajdując możności rozwoju, marnieją w bezczynności przymusowej. Kwestyi tej nie można starym zwyczajem odkładać *ad acta*.

Bez trzeciego mostu społeczeństwo nasze obyćby się jeszcze od biedy mogło, niezbudowanie rzeźni nie spowodowałoby jeszcze zguby narodu, ale marnowanie olbrzymich zastępów sił młodych, napewno nie popchnie naprzód naszego rozwoju.

Nasza prasa powinna skorzystać ze sposobności oddania choć raz prawdziwie wielkiej usługi krajowi, powinna z całym zapalem budzić do życia uspiiony rozsądek ogółu, jednym słowem winna rozwinąć cały arsenał publicystyczny dla wywalczenia polskiej kobiecie możności swobodnego i niekrępowanego rozwoju.

Potrzebę urzędzenia w Warszawie wyższych kursów dla kobiet powinni uznać nawet ci zaściankowi moralisci, dla których niesympatycznym jest dążenie kobiet do wiedzy.

WNUCZKA.

NOWELLA.



(Dokończenie).

Może się to wydać paradoksalnem, a jednak tak jest w istocie. Dążenie do nauki rozwija się wśród naszych kobiet z tak żywiołową siłą, że żadne utyskiwania i jęki nie zdołają ani na chwilę powstrzymać potężniejącego wciąż ruchu. Konserwatyści nasi nie powinni więc bezskutecznie usiłować płynąć przeciw prądowi, ale winni starać się o uczynienie go o ile możności mniej „szkodliwym.“

„Szkodliwość“ zaś dążenia kobiet do nauki polega według ich dość słusznego zresztą poglądu na tem, że młode panny z wyjazdem zagranicę podlegają tysiącym niebezpieczeństwom natury moralnej, będąc pozbawione oparcia ze strony otoczenia.

Nie ulega wątpliwości, że dla pozbawionych przez wadliwe wychowanie wszelkiej samodzielności istot nagle znalezienie się bez oparcia w wielkich środowiskach Europy może wydać niezbyt miłe skutki, ale też jedy-
nem na to lekarstwem jest pozwolić im kształcić się w domu, u siebie. Kursa wyższe w Warszawie zniosłyby exodus naszych zdolniejszych niewiast na Zachód, który według naszych rozmaitego kalibru niewinności jest gniazdem bezceństw i sprośności wszelkich.

Przekonywać o potrzebie wyższych kursów dla kobiet tych, którzy nie patrzą na świat przez zadymione okulary ciasnej zaściankowkości, nie potrzeba. Każdy człowiek rozsądny zgodzi się na to, że nawet nadmiar wiedzy nikomu zaszkodzić nie może.

Wszyscy więc ci, którzy interesują się rozwojem własnego społeczeństwa, winni zająć się szczerze sprawą wyższych kursów dla kobiet, nie jest to bowiem sprawa tego lub owego programu, ale prawdziwa potrzeba całego społeczeństwa i to potrzeba pilna, wymagająca jak najszybszego zaspokojenia.

Tadeusz Radwański.



Przychodziły na nią chwile ogromnej rozpacz, wtedy ręce załamywała bezsilna, wznosiła je ku niebu, potem na ziemię padała, miotana bólem bezgranicznym, oszalała nieszczęściem, — łkała rozpacznie dniami i nocami.

Przeszło znowu parę tygodni, uspokoiła się, straszna rozpacz ustąpiła straszному smutkowi.

Powoli zaczynała pojmować cały bezmiar nieszczęścia.

...Więc nie kochał jej nigdy?

Więc ona dla niego była... niczem? Więc umyślną zabawkę urządził sobie z jej życia, bo wiedział, że ona bez niego żyć nie potrafi?

O Jezu! — z jękiem padała na ziemię...

Może Bóg cud uczyni, może go przywróci!

I znowu, jak niegdyś, padała na kolana, znowu w ciemności nocy rozlegał się szept żarliwy:

— Boże, wróć go! przywróć go raz jeszcze!

Niekiedy po żarliwej modlitwie na chwilę się uspakajała. Ale potem rozpacz, jak fala do brzegu płynąca, wracała ze zdwojoną siłą.

Znowu mijały tygodnie. Nadeszła wilia Bożego Narodzenia. Chciała usiąść z dziadkiem do stołu — nie mogła.

Blada była, jakby już życia nic w niej nie zostało, a oczy pałały złym jakimś ogniem.

— Umrze, lub oszaleje! — jęknął Orwid, patrzając na wnuczkę.

Ale śmierć — ta wielka oswobodzicielka — jeszcze nie nadeszła. Znowu minęło dni wiele, przestała płakać i rozpaczać, zrozumiała, że już się nic nie odmieni, ale zarazem rozumiała, że z temi myślami żyć nie może, bo one wyssały z niej życie.

A myśli te nie opuszczały jej ani na chwilę.

...Kim był ten człowiek? czego chciał od niej i czego chciał od życia?

Dlaczego wszelkimi sposobami i siłami podbił jej serce po to tylko, aby je odrzucić, odtrącić, podeptać?

Więc tego Zygmunta umiłowanego nie było już dla niej nigdzie i nigdy nie miała go odnaleźć, bo on wcale nie istniał?

I ten gmach zaufania i wiary ku niemu nie miał nigdy żadnej, nawet najranniejszej podstawy?

A przecież istniał kiedyś!

Jak to było możliwym, aby człowiek tak świetny, moralnie stał tak nisko i tak nieskończenie był występny i potworny?

Wiosna nadeszła, a w sercu jej do rozpacz przyłączyła się tęsknota.

Gdzie on był teraz? Czy niema już dla niego uniewinnienia? Czy istotnie był tak nieskończenie występny?

O! żeby tak wiedzieć, czy choć przez sekundę iskra uczucia ku niej zatliła w jego sercu!

O! żeby tak kto powiedział, że ten smutek jego spojrzenia nie zawsze był udany!

Żeby kto dał zapewnienie, że i on miewał błyski duchowe choć przez oka mgnienie, kiedy ona była przy nim, a on głowę swą tulił do jej kolan!...

W myśli widziała go często klęczącego u jej stóp, z ciemnymi włosami rozwianymi nad czołem.

Nawet w owych chwilach jej nie kochał! to wszystko było jednym długim pasmem kłamstwa i obłudy...

A ona tak go kochała! Tyloletnie marzenie o nim spotęgowało jej uczucie, dało miłości tej podwalinę tak silną, że już nie miała jej złamać.

On był jej celem, jej szczęściem, jej rodziną, jej światłem, jej życiem!

Więc teraz — gdy przejrzała jego występny duszę — z onej nicości ukochanego człowieka, musiała umrzeć!

A przecie żyć pragnęła — dla dziadka! Co stanie się z nim, gdy ona odejdzie? Ale dla

POGAWĘDKA.



II.

Rozgrymasiła się ta zima nasza,
Niby niewiasta, chora na kaprysy,
Gdy wiek już resztki urody rozprasza,
Wyłłabia zmarszczki i zaostrza rysy...
Gniewa niewiastę, że milknie pochwała,
Że już więdnące nie działają czary;
Że gawieź, która niegdyś uwielbiała,
Dzisiaj pocichu drwi sobie ze... starej.
A gniew niewiasty — toć — wiadome rzeczy —
Groźniejszy bywa od wichru i burzy,
Gorszy od kuli, groźniejszy od mieczy,
Bo nie zabija, lecz... nudzi i nuży...

* * *

Tak właśnie zima u schyłku swej krasy
Mści się dziś srodze ostatkami siły,

A że na mroźne nie stać ją zapasy,
Więc jeno sypie deszcz-snieżyk zgniły.
Czasami rąkami spróbuje uśmiechu
I kusi... nęci... a może kto... jeszcze...
Lecz tłum nieczuły mija ją w pospiechu,
Więc gniew ją chwyta i z ócz płyną... deszcz... [cze...

Tak prawie co dnia dręczy i marudzi,
I tak dokucza niewiasta nieznośna,
Że aż westchnienie rozrywa pierś ludzi:
Kiedyż tę babę złą zluzuje — wiosna?

* * *

Kiedyż zluzuje i kiedy zaświeci
Wdziękiem pogody w słonecznej koronie,
I szarą ziemię zbożami rozkwieci
I szarym dołom porozgrzewa dłonie,
Aby co raźniej ujęły lemieszce,
I kiedy pryśnie twardy pancierz lodu,
Chleb wyorały, który mnogie rzesze
Jutro nakarmi w ową wiosnę-głodu...

* * *

A głodnych rzeszy pono legion będzie:
Nagich powodzian i rąk bez zarobku,
Bo to i przemysł coraz gorzej prędzie,
I kłosów było nieobficie w snopku,
I surm bojowych płynie grzmot zdaleka,
Co serca trwoży i krew zcina lodem —
I zły przednówek u wrót chaty czeka
Ze swych tragicznych druhów korowodem...
I szara troska skrada się do proga,
A za nią ciche popłakuje łkanie...
I jeno prosić trzeba Pana Boga,
By miał dla biednych ludzi zmiłowanie!...

* * *

Wybaczcie, proszę, że mi gorzki smutek
Osiedł na oczach i łyzy ciche roni...
Ale to deszczu zimowego skutek,
Co w szyby okien mej samotni dzwoni
I w dach łopocąc, targa chore nerwy,
I w rynny z szumem pcha deszczową tłusz — [czę —
I monotownie, bez zmiany, bez przerwy,
Pada, i pada, i pluszcze, i pluszcze...

* * *

siebie tak pragnęłyby umrzeć! Żeby jeszcze odnaleźć odpowiedź na dręczące ją pytanie, żeby znaleźć rozwiązanie tej ciemnej zagadki życiowej — możeby wyżyła.

Ale myśli smutne, nigdy jej nie opuszczające, zadreślały ją na śmierć!

Czemu nie przywróci jej Zygmunta ten Bóg, który przyrzekł dać światu wszystko, o cokolwiek się Go prosi!

Żeby kto odpowiedział na te pytania, bo one ją zabijają!

Patrzyła, jak dni jej płynęły i jak każdy dzień zabierał część jej życia.

Jaką potworną musiała być ta dusza Zygmunta, która jej się wydała potężną!

Nie mogła pojąć, aby tak lichym mógł być człowiek, który umiał obdarzać takim wielkiem szczęściem!

Brała do rąk jego fotografię.

Zkąd ta rzewna zaduma? ten smutek cichy w jego spojrzeniu? Przekonał ją, że to wszystko było udane!

Podbijał serca marzącym wzrokiem, udawał smutek, gdzie wiedział, że współczują.

Żyć z przeświadczeniem, że tak potworne rzeczy istnieją na świecie — nie mogła.

* * *

Wiosna zapanowała znowu wszechwładnie i budziła do nowego życia.

Te rozkwitające pączki kwiatów, woń bzów dolatująca do jej okna, piosenka zasłyszana z oddali, zbudziły jej serce z martwoty.

Ta z miłością tak ściśle związana chęć życia, na chwilę jeszcze pojawiła się w jej duszy. W krąg jej ciemnych myśli padło wspomnienie.

Niemirowicz!...

Taki zawsze dobry dla niej! Może ją zrozumie, może znajdzie słowo pociechy!

Jej myśl strudzona odpoczywała na dźwięk tego nazwiska. A z imieniem tem ściśle łączą się słowa inne: Helle, lekcyje w Konserwatoryum, jej talent, jej wielkie cele, które widne szlaki roztaczały w jej życiu — niegdys!

Żeby to wszystko w niej odżyło, żeby śmierć

oddalić, która szła ku niej wielkimi krokami i zabrać ją miała dziadkowi. W pewne ciepłe popołudnie zabrała się, wzięła nuty do ręki — uwiadomiła poprzednio Hellego — i udała się na lekcyje. Orwidowi, kiedy ujrzał wnuczkę, jak niegdyś za dobrych, minionych czasów idącą na lekcyje, serce zamarło na chwilę, bał się odetchnąć lub przemówić słowa, by nie spłoszyć wizyi świetlanej.

Poszła!...

Słońce ciepłe promienie słało na świat Boży, ptaki u okien domów nuciły wesoło, kwiaty w ręku przekupniów odurzały wonią bzów i fiołków.

Weszła do przedsionka Konserwatoryum, serce poczęło jej bić żywiej. Takie tu wszystko znajome! takie drogie! takie blizkie jej niegdyś! Nie mogła opanować wzruszenia.

To świat inny, co niegdyś był wyłącznym jej światem! Żeby tak można odzyskać go na nowo!

Serce coraz silniej uderzało jej w piersi. Nikt, prócz Hellego, jej się tu nie spodziewał. Już tak dawno, jak tu nie była!

Zrazu wydało się jej, że w przedpokoju nie było nikogo, potem spostrzegła, że się coś poruszyło. Widocznie źle widziała przysłoniętymi łzami oczyma.

W rogu przedpokoju stał Niemirowicz, plecami do niej zwrócony, nie spostrzegł jej wejścia, zajęty rozmową z panną Belzką.

Karze się wydało, jakby przed chwilą trzymał w swej dłoni rękę koleżanki.

Przeszła obok nich — poznali ją.

Panna Belzka ukłoniła się i przeszła do bocznej sali, Niemirowicz wyciągnął rękę do Kary.

— Wróciła pani? nareszcie! — zawołał głosem swobodnym. — Jak się pani miewa?

— Dobrze, — odpowiedziała drżącym głosem.

— To chwała Bogu. Słyszałem, że pani chorowała?

— Istotnie, czułam się trochę niezdrową..

— Idzie pani teraz na lekcyje?

— Idę.. zawiadomiłam Hellego.

— Nie będę pani zatrzymywał, bo i ja również się spieszę, ćwiczymy „trio“ Brahmsa z panną Belzką i kolegą Dunkanem...

— Powodzenia! — uśmiechnęła się Kara. Rozeszli się.

Wtedy przed sobą ujrzała ciemność, zachwiała się, myślała, że upadnie, ale opanowała wzruszenie.

To był Niemirowicz? Co mu się stało?

Aha — prawda! Zapomnieli tu o niej! Tak długo jej nie widzieli! Wymazali ją z pamięci!

Jaka ona śmieszna — idealistka krańcowa! Myślała, że Niemirowicz żył jej wspomnieniem! Przecież nie może mu mieć za złe, że o niej zapomniał. To takie ludzkie. Cóż w tem dziwnego? Grywał z tamtymi i spieszył do nich. Niegdyś z nią grywał i tak samo do niej spieszył.

Zabrała nuty i weszła do wielkiej sali pod numerem 10-ym.

Helle wybiegł ku niej, szczerze się ucieszył z jej przyjścia. Taki dobry zawsze!...

Przez chwilę rozmawiali, potem rozpoczęli lekcyje.

Zacząła grać balladę Chopina, ale nie szło jej, myśli się płątały, nie rozumiała wyraźnie, co gra, potem poczuła, że ręce jej słabną, że palce jej poczynają się plątać. Ciemne rumieńce wystąpiły jej na twarz.

Helle nie uczynił żadnej uwagi, i to mieszało ją jeszcze więcej...

Urwała — rozpoczęła jeszcze raz od początku.

Ale znowu melodia ballady poczęła się mącić, pomimo nadludzkiego wysiłku z jej strony, nie występowała wyraźnie...

Wtedy opuściła ręce na kolana, z oczu jej płynąć poczęły łzy ciężkie i obfite...

— Co pani jest? — łagodnie spytał Helle. — Niech się pani uspokoi. Pani jest trochę zdenerwowana... lepiej jeszcze nie pracować... przeczekać dni parę.

— Istotnie, niedobrze mi jakoś — rzekła słabym głosem, — pójdę do domu.

Zabrała nuty i skłoniła się.

Taki był właśnie w ową noc złowrogą,
Gdy hrabski sztucer strzelał ku gromadzie,
I miasto bólem napełniał i trwogą,
Trzydzieści ofiar mając „na rozkładzie...“
Kiedy to wszyscy potracili głowy
I jeno straszne rachowali huk,
Wobec ofiary stojąc coraz nowiej,
Co krwią uliczne polewała bruki...

* * *

Rzecz niewesoła... Waryat... tłum... wystrzały...
Bezradność... popłoch... krwi niewinnej strugi...
Dwa trupy w kącie... Wreszcie poryw śmiały
Kogoś, kto bliżnim spieszy na usługi...
Mógł kulą dostać i odruch pocziwy
Przypłacić życiem na pobojowisku...
Ani zbrodnicze wiodły go porywy,
Ni chciał korzystać... I ot — co ma w zysku:
Winni niedbalstwa albo niedołęztwa
W takt bając tłumy na partykularzu,
W nagrodę prostych poświęceń i meztwa
Wołają teraz: „Pereat — zbrodniarz!“

Chciałbym na końcu tej mojej gawędy
Dać wam krztę światła, co ciemnościom prze-
[czy...

Ale — niestety z tej warszawskiej grzędy
Trudno jaśniejsze wydobywać rzeczy...
Oto mi znowu niewesołe zgrzyty
Płyną pod pióro...

Oto wielka sala,
Pełna słuchaczy... Człowiek znakomity
Wygłosi odczyt... Czeka ludzka fala...
Chwieje się... rusza... żądna... niecierpliwa...

Wreszcie stanęła i patrzy... „On“ wchodzi...
Błędem spojrzeniem po widowni wodzi...
Zaczął... bełkoce... chwieje się... przerywa...
I nie skończywszy bredni napisanej...
Jak wszedł, tak zchodzi z estrady — pijany!

* * *

Pewnie sądzicie, że tłum oburzony
Conajmniej kocia sprawił mu muzykę...
Gdzie tam!... Oklaski z każdej biją strony...
I idzie wieniec, niesiony przez klikę —

A na tym wieńcu skreślono widomo
Bezwstydnikowi napis: „*Ecce Homo*...“

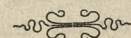
* * *

Cobądźbys myślał o kierunkach sztuki,
Drwił z świeżych prądów, czy cził banialuki,
Lub nowych mistrzów stawiał na wyżynie...
Na *taki napis* i w takiej godzinie
Nie znajdziesz nawet wśród nad-sentymentu
Meta-polskiego nic więcej, prócz — wstręt!

* * *

Ale wierzajcie — głupstwo i zła wola
Nie wiecznie za nos wiedą ludzkie rzesze!...
Skończy się wkrótce komedyancka rola
I chwast wyorzą trzeźwości lemiesz...
Potem przybytek ojczysty wykadzą,
By zabójczego wyzbył się zatrucia...
A dzieje pomnik pogardy zasadzą
Na grobie mistrzów — bredni i zepsucia!...

Artur Gliszczyński.



Helle wziął jej rękę w swoją i rzekł z dobrocią:

— Za kilka tygodni pani wróci! Co? jestem pewien, że do tego czasu odzyska pani dawne siły. Życzę polepszenia i — do widzenia! Ukłoniła się ponownie i wyszła.

Ona jedna wiedziała, że ani za kilka tygodni, ani później, tu już nie wróci!..

Ona jedna wiedziała jasno, że smutki przybyte bezpowrotnie zabiły w niej talent..

I znowu zerwała się jedna więcej nie, która ją łączyła z życiem. Gdyby nie dziadek, spokojnieby teraz odeszła.

Marceli Orwid nie był człowiekiem wierzącym. Przeżył wiele nieszczęść osobistych i rodzinnych, ale nigdy nie odwoływał się do miłosierdzia Bożkiego.

Siedząc obok wnuczki, myślami cofnięty był w daleką przeszłość. Niegdyś, przed wielu, wielu laty, widział siostrę swoją gorąco się modlącą, potem złożoną długą, trawiącą chorobą, tak samo, jak teraz ta wnuczka jego, cichą, nie szmerzącą, z dziwnym poddaniem znoszącą wszystko, co Opatrzność gotowała.

Chłopcem małym był wtedy. O co siostra jego się modliła, dlaczego potem umarła — nie wiedział.

Teraz, często zastanawiał się nad tem, czemu Bóg, do którego z taką głęboką wiarą odnosili się te dwa serca złamane, czemu ten Bóg nie ulżył, nie pocieszył, nie wysłuchał!

Być może, iż myśli podobne nasuwały się także i Karze. Może pragnęła odnaleźć odpowiedź na to pytanie, które nieraz w bezsenne noce stawiała niebu.

W pokojach Orwida i jego wnuczki wieczne teraz panowało milczenie. Śmierć szła wielkimi krokami, wiedział o tem Orwid, wiedziała jego wnuczka, ująć tej olbrzymce już nie było można..

Kara lubiła teraz myślami cofać się w chwile dzieciństwa. Dziadek w ciche wieczory, a potem w długie bezsenne noce, opowiadał jej różne drobne wypadki z minionych jej lat dziecięcych.

Mówił o matce, wspominał dziecięce, jasne lata wnuczki, jej improwizowane marzenia o rycerzu w ciemnej zbroi, umierającym za ojczyznę..

Słuchała w skupieniu. O! gdyby tak wróciły dawne, minione chwile!..

— Dziadku — spytała raz cicho, — dobrem byłam dzieckiem?

Orwidowi głos się załamał i nie dał odpowiedzi.

— To tak dobrze wiedzieć; że się źle nie czyniło, gdy się odchodzi ztąd na zawsze..

A po chwili rzekła:

— Wie dziadek co? Mnie nie żal życia! Z początku rozpaczalam, bo wątpiałam w Boga, dlatego, że tyle cierpiałam. Teraz jestem spokojna, bo przypominam sobie słowa, których mnie od dzieciństwa nauczono. Gdy się je wspomni, lżej cierpieć, a gdy się umrze, to nie żal świata ani trochę.. Dziadek wie, jakie to słowa?

— Nie wiem, Karuszkko..

— „Królestwo moje nie z tego świata!“ Teraz wiem, dlaczego Bóg niekiedy próśby nie wysłucha.. Gdy się umiera, to tak miło

wspomnieć, że się cierpiało i nie miało szczęścia tu, na ziemi..

Okno pokoju Kary otwarte było szeroko, świegot ptaków dochodził z oddali..

Siedziała w głębokim fotelu przy oknie, zapatrzona w przestrzeń. Poprosiła o fotografię Kończyca i listy jego niegdyś do niej pisane. Ostatnie, długie spojrzenie utkwiała w twarzy człowieka, który stał się katem jej życia.

Trwało to chwilę, potem spaliła papiery i wizerunek Kończyca.

Dwie zimne krople potu wystąpiły na czoło jej śmiertelnie blade.

Była to chwila tak straszna w jej życiu, że po niej nastąpić mogła jedna śmierć.

Było to w rocznicę jednego z owych dni niewielu, w których Kończyca wyznawał Karze gorącą swoją miłość..

Deszcz padał, a krople jego były monotonicznie o szyby okna.. A tam za oknem — noc ciemna..

Wiatr szumiał i jęcząc, latał po świecie..

W mieszkaniu Orwida cisza śmierci i tylko kędys, zdaleka dochodzi gwar miasta..

A za miastem cmentarz, a na nim świeżo usypana mogiła Karuszkki, a na mogile tej — posąg klęczącego anioła, który płacze.

Orwid padł na ziemię..

Umarła — i już jej nigdy nie będzie..

W ziemi z niej — proch. A dusza?

Alboż jest dusza?

Musi być! Czy możliwe, aby taka Kara miała przestać istnieć, jak kwiat polny, co przekwitł i nic z niego nie zostało?

I tej duszy jasnej miałoby już nie być nigdzie!.. choćby przeszedł wszystkie lądy i morza, tej duszy białej miałby nie odnaleźć nigdy?

Niepodobna!

Teraz wierz! O, znajdzie! Jest królestwo takie, daleko kędys, królestwo nie z tego świata, gdzie jest wysłuchanie wszystkich próśb, które serca nieszczęśliwych zanosiły z tej ziemi!

Prawda, musi być królestwo takie, aby w niem cierpieli ci, którzy tutaj bezkarnie łamali dusze niewinne dlatego, że oni byli moi i silni, a ofiary ich bezbronne i słabe..

Halina Ada.



Na progu tajemnic.



W błękitnym chramie płoną lampy złote,
Świetliste pyły srebrzy ołtarz świata;
Bóstwo obleka tajemnicza szata,
Skazując Duchy na wieczną tęsknotę.

Nad senną ziemią skrós tumany płynię
Majestatyczny, widziadlany huf;
Hen, ku beźmiernej, gwiazdzistej równinie
Płynię przy świetle zagadkowych snów.

Złocą się wrota w mileżące oddali
I bronią wstępu na świątynny próg..
Srebrzą się zbroje z migotliwej stali
Śród mlecznej jaśni zaobłocznych dróg.

Zalśniły miecze, brzękneły pancerze,—
Oniemiał orszak u zamkniętych wrót!
Z mgiel się wylaniał, płonąc coraz szerzej,
Bozkich objawień zaświatowy cud..

W nieskończoności wielki łańcuch bytu
Świat zespolony ujął w jeden krąg,
Gasząc miraż ziemskiego zachwytu,
Gasząc pożary purpurowych mąk.

I tak się splotły w wieniec wszystkie dusze,
Że znikł dla każdej odrębny jej świat,
W którym niezienne są tylko katusze
I niezliczone pyły ziemskich strat.

Godziny życia przekroczyła wieczność,
Aż skamieniały nakształt martwych brył;
Z mroków dźwigała się ślepa konieczność,
Gasząc świadomość, że duch duchem był..

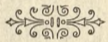
* * *

Skrós tuman płyną ponure orszaki,
Po drodze łamią swych oręży stal..
W gwiezdym opyle drżą błękitne szlaki..
Tysiącem oczu nęci jasna dal..

* * *

W błękitnym chramie gasną lampy złote..
Nad ziemią wstaje świt zamglony, szary,
Zglodniałym duchom niosąc swoje dary:
Zawodny promień jakiej nowej wiary
I dawny ból — i rozpacz — i tęsknotę..

W. D.



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Takie wypadki, choćby rzadkie i krótkotrwałe, zawsze będą dostatecznie wykazywały pierwszorzędność społecznego stanowiska mężczyzny, jako stróża i obrońcy wszelkiej własności, wszelkiego dobra, będą mu podawaly sposobność ujawnienia swej wyższości w postaci męskiej odwagi, wychodzącej z poczucia męskiej siły. A wobec tego kobieta, nie mogąc zrównać się z nim na tem polu, będzie zmuszona przez własną sprawiedliwość do uznania swojej niezaprzeczonej w tym względzie niższości — i w taki sposób wojna będzie zawsze zakreślać pewne granice zupełności jej równouprawnienia.

Wprawdzie, jak wiadomo, kobieta jest zdolną do moralnego bohaterstwa zupełnie na równi z mężczyzną, ale to jest królestwo nie z tego świata. W porządku tego świata panowanie zapewnia bardziej wysiłek fizyczny; i to nie wskutek jednorazowego podniecenia, do którego zdolną jest nawet słaba istota, lecz wskutek tej organicznej właściwości, która daje wytrzymałość w natężeniu siły i stale jej napięcie utrzymuje, co jest naturalnem u normalnego mężczyzny, a dla wyjątkowych tylko organizmów kobiecych możliwem.

Na ogół biorąc, kobieta, nawet mogąca wytrzymać cięższe prace, np. rolne lub fabryczne, forsownego wysiłku, jakiego wyma-

gają trudy wojenne, długo nie wytrzyma. I trudno przypuszczać, aby w najdalszej przyszłości ciało kobiece nabrało takiej twardości, a dusza takiej bezwrażliwości, że do boju staną długowłose pułki, nie męczące się ciężkim marszem, nie denerwujące się widokiem ludzkich jatek.

To też, wychodząc z tych przesłanek, wnioskować musimy, że zupełne zrównanie płci obu nastąpić nie może nigdy, ponieważ stoją temu na przeszkodzie dwie ludzkie właściwości niezmiennie: niedoskonałość moralna w ogóle człowieka i niedoskonałość fizyczna specjalnie kobiety. Chociażby ludzkość w postępowem dążeniu swem do dobra stanęła możliwie najwyżej, dobro bezwzględne i powszechne będzie zawsze niedoścignionem, zawsze się znajdą złe wyjątki, których czyny niesprawiedliwe będą wywoływać potrzebę koniecznej obrony. Że zaś obrońcy muszą być z natury swej i tędzy, i śmiali, więc będą nimi do końca—jak byli od początku—mężczyźni, a obowiązek ten konsenkwentnie będzie im zapewniał i pewne pierwszeństwo społeczne i jakieś w społeczeństwie przywileje.

Nie o to tedy chodzi, aby porywać się wysiłkiem daremnym na konieczne wyniki praw psychicznych i przyrodzonych; tylko o to, aby stosunki unormować sprawiedliwie, aby społeczne pierwszeństwo mężczyzn nie przekraczało granic słuszności—i aby ich przywileje nie znosiły słusznych praw kobiety,—jak to aż dotąd miało miejsce w historii świata.

Niestety, i wspaniali bohaterowie wojen Perskich przekroczyli granice słuszności w stosunku do kobiety. Odgłos surmy bojowej zagłuszył dźwięki kobiecej lutni, nie stało poetek i filozofek, a niezadługo nie stało nawet wogóle kulturalnej kobiety. Zapędzona do zamkniętego gyneceum, oddzielona murami domu rodzinnego nie tylko od działalności publicznej, ale nawet po większej części od świadomości spraw publicznych, pozbawiona nie tylko wyższej nauki, ale nawet elementarnej oświaty, była już tylko troskliwą nianką chłopców, rządczynią spraw spiżarnianych, zwierzechniczką nieszczęsnych bydła—niewolników domowych. A na domiar uposłedzenia, przestała być nawet kochanką. Promienisty mądrością, wytworny smakiem, szeroko patrzący, głęboko myślący, estetycznie ogromnie wymagający Ateńczyk mógłże znaleźć nie już trwałe szczęście, ale choćby żywsze zadowolenie w obcowaniu z istotą płytką i pospolitą, pozbawioną umysłowego blasku i towarzyskiego powabu?

Oglupił ją, sflistrzył, a potem przestał kochać dlatego, że była taką, jaką ją sam zrobił.

Smutne zjawisko — i smutne świadectwo niedoskonałości najdoskonalszych po ludzku ludzi. Posiadali bohaterską waleczność, obywatelską ofiarną, mądrość społeczną i polityczną, wiedzę filozoficzną, świetność rozumu, bystrość dowcipu i ten niezrównany zmysł estetyczny, który wytworzył tyle zjawień piękna na polu wszystkich sztuk, że szczytami okrucami z ich skarbnicy zbogacamy się aż dotąd, aż dotąd pełniejszej i bardziej skończonej harmonii piękna nie znaleźliśmy; posiadali to wszystko — a pomi-

mo tego brakowało im tak elementarnych pojęć i uczuć, jak humanitarności względem niewolnika i uznania człowieczeństwa w kobiecie.

Usunięcie kobiety ze sfery ogólnych interesów i pozbawienie jej umysłowej z sobą wspólności spowodowało u Greków owej epoki sprowadzenie uczuć miłosnych do bardzo słabego natężenia i bardzo niskiego poziomu. Ta oś, wokół której obraca się tyle poważnych spraw życiowych, ten czar młodości, ta poezja bytowej prozy zredukowała się u nich do bardzo podrzędnego kółka w maszynie egzystencji. Grek miał nawet pewien rodzaj szacunku dla swojej towarzyski, ograniczonej—ale uczciwej, za te cnoty domowe, które ona ściśle pełniła, bo ich od niej wymagał surowo; ale jego erotycznie-intellektualny temperament nie znalazłszy przy niej zaspokojenia, szukał sobie innych źródeł uciechy, bujna do rozkiełznania fantazyja gonila za niezwykłymi wrażeniami — aż popadła w anormalność. Deprawacyja moralna przeszła wszelkie granice, a nadając zepsuciu sankcyję religijną i obyczajową, doszła do takiego zwyrodnienia, do jakiego tylko ślepotą poganiństwa sumienie ludzkie doprowadzić może. Bujna i świetna poezja mitologiczna splugawiła się pomysłami zbezczeszczonej wyobraźni, a z kolei obrazki z dziejów bożków pobudzały i uprawiały najniższe instynkty ludzkie. Aż powszechny, a tak głęboki upadek moralny społeczeństwa tak wysoko stojącego pod innymi względami wykazał dowodnie i poglądowo, że najwyższa kultura filozoficzna i estetyczna nie może dać tego, co daje tylko religijne uduchowanie — czystości serca.

Gdy po wojnach perskich nadeszła epoka bezpiecznego pokoju a z nim szczytowej świetności tryumfującej Hellady, cywilizacyja grecka zajaśniała w swym pełnym rozkwicie, brakowało tylko w tym pięknym wieńcu wonnych i delikatnych kwiatów kobiecego umysłu. Ale w dobie pokojowej zwykle kobieta tak znihilizowana w czasie wojennym, zaczyna nabierać pewności siebie, i poczuwszy w sobie ogólną ludzką indywidualność, poczyna albo domagać się jawnie swojej cząstki w życiu powszechnem, albo ją sobie skrycie wyrabiać jakimś powolnem często nieuświadomionem, ale mimo to celowem i skutecznem postępowaniem. Tak się też stało i tym razem. Ale pionierkami, które wzbudziły reakcyję i przeprowadziły intelektualne odrodzenie kobiety, nie stały się oślepienie długo już trwającą tradycyją obowiązującą je ciemnoty kobiety domowego ogniska. Sprawily to kobiety wykołejone, te, które pozbawione rodziny, nie były wychowanymi w pęta ch konwencyonalnej bierności, a będąc zwolnionymi z obowiązku moralności, przysługującego prawym małżonkom, zapragnęły wyzwolić się także z obowiązku kobiecej ignorancyi, aby na drodze umysłowej pozyskać przywileje, których mieć nie mogły na drodze obyczajowej.

I rozpoczęło się w greckich stosunkach towarzyskich panowanie „heteryzmu.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

NASZ

KWESTYONARYUSZ MACIERZYŃSKI.



(Ciąg dalszy).

VII.

Powodem, że dotąd tak niewiele nas matek zabrało głos w Kwestyonyuszu, był bezwzględnie czas źle wybrany. Przeważną część kobiet wyjeżdża na lato z rodziną, nowe zaś warunki, często bardzo niedogodne, pochłaniają nas tak, iż prócz zaspokojenia potrzeb naszych, nie mamy prawie czasu na inne zajęcia.

Kilka tych słów wytłómaczenia uważałam za potrzebne, gdyż sprawa podniesiona przez Kwestyonyusz, jest zbyt ważną, aby ją traktować obojętnie, a takim ciężarem leży na sercu każdej matki, że podnieść tę kwestyę, rozjaśnić, doradzić sobie wzajemnie, jest prawdziwym naszym obowiązkiem; w miarę sił, w miarę doświadczenia powinniśmy stanąć na wezwanie.

Wychowanie dzieci było zawsze trudnem zadaniem, o ile więc dziś jest trudniejszem, gdy my dzisiaj wobec córek naszych stajemy, jako dwa przeciwne bieguny — możnaby porównać cichy bieg strumyka z rwącym potokiem górskim. Dawniej marzeniem każdego prawie dziewczęcia, był jak najdłuższy pobyt pod skrzydłem matki, praca pod jej kierunkiem, dziś od najmłodszych już lat dziewczę marzy o wyrwaniu się właśnie z pod tej opieki, o spróbowaniu sił w samodzielnej pracy.

Mimo wychowanie czysto domowe, na wsi, wśród warunków bardzo skromnych, przed wielu już laty, mimo, że rzadko głos z szerszego świata dochodził do mnie, tęskniłam i ja za wyższym wykształceniem i próbą własnego lotu, że jednak było to niemożliwe, skierowałam wszystkie swe siły ku urabianiu swego charakteru, i kto wie, czy temu właśnie nie zawdzięczam dużo szczęścia, jakiego w życiu zaznałam.

Nadmieniam o tem, bo zdaje mi się, ważny błąd w wychowywaniu córek naszych tkwi w tem, że zwracamy wszystkie swe usiłowania, aby je kształcić jak najwyżej umysłowo, zapominając zupełnie o wyrabianiu w nich tych idealnych pierwiastków, które są podstawą całego życia, szczęścia, a nawet tejże samej nauki,—zapominamy o harcie, silnej woli, cierpliwości niezmordowanej, w której tak celowały nasze matki, a która razem ze stanowczością rozumną, sercem obejmującym szersze kręgi, czyni dopiero z kobiety prawdziwego człowieka.

Nie mam tak wiele znajomości, ale o ile miałam sposobność poznać, powiem otwarcie, że spotykane dziś panienki robią na mnie wrażenie gorączkowo chorobliwych istot, rwą się do czegoś, niecierpliwą, opuszczają rodziny, nie potrzebujące zajęcia, zajmują miejsca potrzebującym, kiedy tuż obok nich leży nie raz całe pole działania.

Shczęście, jeżeli są zdolności; te się wybija i stają się rzeczywiście pożytecznymi członkami społeczeństwa, ale gdy zdolności nie dopiszą, niewyrobitny charakter nie wzmocni, a często i podkopana wiara nie podtrzyma w chwili zawodu, wtenczas mamy gotowy materiał na nerwową, wykołejoną, zniechęconą do życia kobietę.

Małżeństwo zawarte w takich warunkach nie da stanowczo szczęścia, bo kobieta taka będzie się uważała zawsze za ciężko pokrzywdzoną. Znam natomiast kilka starych już bardzo kobiet, których duch silny cudów dokazał.

Wdowy, zostawione bez utrzymania, dzięki tylko niezmordowanej pracy, umiejętności radzenia sobie w najtrudniejszych chwilach

życia, wychowały dzieci na bardzo uczciwych i pożytecznych ludzi; pamiętam, mimo ciągłą walkę z niedostatkiem, mimo bezustanne zamięczenia, znajdowałam u nich nieraz gościnne przyjęcie, pogawędkę serdeczną i radę w potrzebie; pamiętam, jak dążenia nas młodych zwracały one zawsze ku poważnym celom życia; nie tylko na sobie doświadczałam tego wpływu, ale zdawało się, iż naokoło biją te dobroczynne promienie, otoczenie całe, służba, przesiąknięte były ideałami, którymi żyły także te kobiety; dziś jeszcze, pomimo wieku już bardzo podeszłego, zachowały dotąd ten wpływ, tę świetlaną aureolę, do dziś dnia są bożyszczem rodziny, dotąd dzieci—choć już są same w podeszłym wieku—szukają u nich rady i wsparcia, dzielą każde uczucie i każde wrażenie.

Dodajmy do tych darów duszy wykształcenie wysokie, a będziemy mieli idealną postać kobiety.

Rozumem, miłością i spokojem ileż kobieta dobrego zrobić może!... Kształmy więc w córkach naszych obok umysłu zdrowie fizyczne i moralne, miarkujmy tę gorączkę, która nieraz więcej się rzuca, niż dobrego czyni, wyrabiajmy rozumne pojęcia obowiązku, a będziemy miały z nich prawdziwą pociechę.

Jeszcze jedna kwestya, która tu może zbyt rzadko będzie — idzie mi o zaznaczenie, abysmy wychowując córki nasze, umiały być również matkami, bo i to jest trudne, zrozumieć dziecko, ocenić zdolności, dążenia i siły jego i podług tego postępować; nie jest to tak łatwo, a więc i nam trzeba nieraz zapomnieć o zabawach, nerwach, chwilowem osłabieniu lub zajęciu, a starać się wniknąć w potrzeby dzieci naszych i w miarę tego niedostrzegalnie kierować ich krokami.

W postępowaniu naszym z dziećmi miłość macierzyńska — o ile nie jest ślepa — dodaje sił, dobre zaś pożycie małżeńskie jest ogromną podporą i ułatwieniem; o to pożycie więc powinniśmy się starać koniecznie.

Gdyby niejedna z matek wiedziała, jak zbawienny wpływ wywiera harmonia w rodzinie, niejedną nieprzyjemność zniesłoby potrafiła; osoby więc, tak mężczyzna, jak kobieta, które nie czują sił do zwalczania siebie i przystosowania wzajemnego swych charakterów, niechaj lepiej nie zakładają nigdy rodzinnego ogniska. Niedobre małżeństwo, to nie tylko nieszczęście dla nas, to najsmutniejsze dla dzieci naszych. Co może być boleśniejszego nad rozterkę pomiędzy ojcem i matką, którą dzieci widzą, której wybuchu lękają się co chwila!... czyż taki rodzaj życia może zahartować nerwy niewyrobionej, nieświadomej dzieci? Znam skutkiem tego wykołajone zupełnie istoty.

A więc obok dzieci kształmy siebie także, „rozumieć wszystko, to wiele przebaczyć;“ ale aby zrozumieć, trzeba wiele się uczyć, umieć patrzeć na życie, iść ciągle z postępem. Poświęćmy więc nie jedną chwilę wniknięciu w siebie, brońmy się od egoizmu, który w późniejszym wieku tak często się zdarza, kochajmy dzieci nasze rozumnie — dla nich samych, a kto wie, czy córek naszych nie wychowamy wtenczas na rozumne, świadome swych celów kobiety, w całym znaczeniu tego wyrazu, za które społeczeństwo wdzięczne nam będzie!

H. W.

DRABNOSTKI.



(Dokończenie).

Jeżeli to są tylko złe manieiry, to trzymamy je przecież w swej mocy i mogą być

łatwiej usunięte, aniżeli zło głębokie, z którego rzeczywistość biorą początek.

Nikt nie powinien sądzić ostro tych, którzy, czy to przez chorobę, czy przez troskę niespokojną, dadzą się ponieść rozdrażnieniu, chociaż i oni powinni czuć i walczyć, nie poddając mu się. Ale niema obowiązku stosować się i trudno mieć wyrozumienie dla kaprysów i humorów, nie każdy wszelako zdaje sobie sprawę z tego, jakim ciężarem jest dla otaczających kapryśne usposobienie i poddawanie się złemu humorowi.

Któż nie zna cech tej wady? tego zimnego, odwróconego spojrzenia, tych jednosylabowych suchych odpowiedzi, tych objawów najwyższej obojętności na czyjeś zdanie, albo co gorzej, krótki, gryzący sposób mówienia i także zachowanie; ponurą niechęć, postanowienie nie uśmiechania się i bronienie przeciw wesołości; mina męczennika lub głęboko obrazonego; spokojnie drwiący uśmiech, sztuczne zdziwienie nad tem, co ktoś zrobił; pozor-na pokora i chęć ustąpienia pierwszeństwa, kto z nas nie spotkał podobnych objawów niechęci u drugich! kto nie martwił się niemi, lub nie uśmiechnął się na ich widok — a jednak sam w nie może później popaść i starał się też usprawiedliwić przed sobą!

Takiego usposobienia kapryśnego zwykle nie nazywamy grzesznem — staramy się upiększyć je innym mianem, i w sercu własnem usprawiedliwiamy, jako słabość niepozbywaną wdzięku. Wybuch gwałtownej zgryźliwości trudno jest upiększyć, ale jakże często usprawiedliwiamy cicho uprawianą zgryźliwość, powołując się na obrażone lub zbyt subtelne uczucie.

Pokrewnie temu jest usposobienie drażliwe, obrażające się o byle drobnostkę. Człowiekowi obdarzonemu niem zdaje się zawsze, że ktoś mu chce ubliżyć, pominąć go; z małych uchybień tworzy wielkie obrazy! Nie obrażajmy drugich, lecz i nie dawajmy łatwego przystępu uczuciu obrazy własnej!

Najgorszą stroną tych małych objawów złego humoru jest to, że zwykle pozwalamy sobie na nie względem tych właśnie, których kochamy, tylko w domu, tylko względem rodziny własnej. Obecność obcych daje nam siłę do zwalczania ich lub odrzucenia na stronę. Rzadko bywamy niechętni, uszczypliwi, ponurzy, mrukliwi albo niezadowoleni — po za domowem kółkiem. Tak być nie powinno. Upzejmość musi być zarówno stosowana w codziennem życiu domowem, jak względem obcych i znajomych.

Być może, że w niektórych wypadkach większą rolę grają owe „złe manieiry,“ aniżeli humor, ale jeżeli taki sposób zachowywania się drugich drażni i gniewa i do grzechu pobudza, czyż nie powinniśmy się go wystrzeżać?

Któż nie oburza się na ton rozkazujący osób, które prawo narzucają, a same czynów swoich nie pozwalają sądzić!

Mało kto spokojnie znosi ostry sposób dowodzenia w dyskusji, w której mówiący wszystko bierze za osobistą obrazę! któż nie uczuje się odepchniętym — szorstkim i niedelikatnym sposobem, w jaki przyjęto wyświadczoną jakąś przysługę drobną?

Różnorodne i liczne bywają braki zewnętrznego zachowania się; w wielu razach, jeśli szczerze do źródła zajrzemy, przekonamy się, że najczęściej pochodzą z miłości własnej i z obojętności, jaką żywimy dla uczucia drugich, i że nieraz zaradziłaby złemu wzajemna, serdeczna wyrozumiałość i upzejmość.

Nagannem jest również przyzwyczajenie przedstawiania wszystkiego w śmiesznem świetle. Prowadzi do niechęci skłonności odsłaniania i wyśmiewania cudzych ułomności i nieweczy prawie zawsze zdolność odczuwania piękna, subtelna i miła własność wynajdywania w czynach drugich, strony najlepszej. Wiecznie ganiąca krytyka, jest rzeczą wysoce nieprzyjemną!

W niektórych znów rodzinach, gdzie nawet panuje i miłość, i humor dobry, mają zwyczaj ciągłego sprzeciwiania się i zaprzeczania wszystkiemu wzajemnie. Jest to bardziej męczące, aniżeli złe. Ale jakże nieprzyjemnie jest słuchać, gdy np., dwie siostry — nawet gdy chodzi o drobiazgi — w wiecznej są sprzeczce i niezgodzie, po prostu ze zwyczaju. Jest to wada uprawiana zwykle w kółku rodzinnem i jest plagą — aczkolwiek drobną, ale nieprzyjemną.

Jeśli usposobienie do sprzeczki jest nieprzyjemnem, to nie ustępuje mu również niezdecydowanie w drobnych rzeczach. Ileż to razy marnuje się dzień cały na namysłach za i przeciw, gdy się coś projektuje!

Co mamy zrobić, gdzie mamy pójść na co ten i ów ma ochotę? i jak częstym wynikiem tych namysłów i wahań jest, że albo nie postanowia, albo też rzecz wprost przeciwną temu, czego ktoś sobie życzył, dlatego tylko, że życzenia swojego jasno nie objawił, gdy był o nie pytany. Czasem bywa nieprzyjemnie wypowiadać stanowcze zdanie, gdy chodzi o drobiazgi, wygląda to nieraz na opór, ale gdy się pytają upzejmo, staraj się zdecydować szybko i nie powtarzaj oklepianych komunalów: „Jak sobie inni życzą“ — „Ja nie chcę decydować“ itd. itd., w takim razie zwykle się kończy na tem, że [nikt nigdzie nie idzie, nikt nie zrobić nie chce, bo może ktoś wolałby iść gdzieindziej, lub zrobić co innego!

Spokojna decyzja w takich drobiazgach może doskonale iść w parze z gotowością ustąpienia drugim i chęcią przypodobania im się. Inaczej będzie to uporem, który zwykle pochodzi ztąd, że się dba tylko o siebie — a z drugimi niech się dzieje, co chce!

Najskłonniejszy do uporów — najchętniej drugim wolę swoją narzucają, a niema nic dokuczliwszego, jak ten drobny despotyzm.

Drobną tę pracę kończy autorka wezwaniem do wytrwałego spełniania powziętych zamiarów i danych przyrzeczeń, choćby nam się nawet zdawały mało znacznymi. Bo niema takiego drobiazgu, który by nie przyczynił się do wyrobienia naszej woli i charakteru. Kto w drobiazgach zawodzi, ten łatwo zawiedzie i w ważnych rzeczach.

M. K.



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Opera: „Marya“ H. Melcera; Występy p. Bohuss-Hellerowej.—Filharmonia: Paderewski, Symfonie: Zygmunta Noskowskiego i Władysława ks. Lubomirskiego, Felicya Litwinne, Mark Hambourg. — Nowości muzyczne.

Twórczość operowa polska, przez długi szereg lat zaniedbana, zbudziła się od pewnego czasu do nowego życia. Zabrali się do energiczniejszej pracy na tem polu najstarsi nasi kompozytorowie, próbują sił w tym kierunku, niezwykłym dla nich—symfoniści, sięgają wreszcie po laury w tej dziedzinie ze śmiałością i odwagą młodzieńczą i przedstawiciele pokolenia młodego. Do tych ostatnich należy p. Henryk Melcer, którego opera „Marya“, pierwsze dzieło sceniczne w dorobku kompozytorskim młodego muzyka, ujrzała w czasach ostatnich światło kinkietów na scenie warszawskiej. Nazwisko autora „Maryi“ nie jest obcem dla naszego świata muzycznego. Spotykaliśmy je często na programach różnych koncertów, gdzie p. Melcer popiswał się, jako wybitny pianista-wirtuoz, czytaliśmy je nierzadko na łamach pism naszych i zagranicznych z okazji nagród i zaszczytnych odznaczeń, jakie odbierał na konkursach międzynarodowych za kompozycje swe fortepianowe i orkiestrowe. Tych ostatnich młody twórca napisał już sporą wiązanek — dość wspomnieć o dwóch koncertach fortepianowych, czterech obrazach symfonicznych, przesłuchanym triu G-mol, wreszcie o ogólnie uznanych przez publiczność i krytykę transkrypcjach niektórych pieśni Moniuszki na fortepian. We wszystkich tych utworach p. Melcer okazał się kompozytorem miary nieposledniej, o talencie niewątpliwym, zasobnym w polot i inwencję, a przytem muzykiem dobrym i w fachu swym wykształconym wszechstronnie. Z dużym też zaciekawieniem oczekiwaliśmy pierwszego dzieła jego scenicznego, nie wątpiąc, że przy wyżej wymienionych zaletach organizacji swej artystycznej, a obrawszy przytem tak wdzięczny przedmiot do pracy, jaki przedstawia cudny poemat Malczeskiego z treścią, jak gdyby stworzoną na operę, zaszczytnie odznaczający się dotychczas twórca, potrafi dać dzieło istotnie wartościowe. Nadzieje jednak nasze ziścił p. Melcer, przyznać to należy, tylko w części. W swej „Maryi“ pozostał tem, czem go widzieć przywykliśmy w poprzednich kompozycjach, t. j. muzykiem dobrym i artystą, niepozabawionym wykwalifikowanego smaku artystycznego. To też opracowaniu partycyi jego nie zgoła, albo bardzo niewiele zarzucić można. Staranność w doborze harmonii, robota kontrapunktyczna, oprawa instrumentacyjna, formy i t. p., — wszystko to wykazuje dużą i gruntowną erudycję muzyczną autora. W ukształtowaniu całości i uplanowaniu szczegółów widnieje na każdym kroku poczucie miary artystycznej. Żaden przykry rozdzźwięk, żaden efekt zbyt jaskrawy lub brutalny ogólnej szlachetności linii i konturów nie zamąca. Sceny płyną jedne za drugimi, dopełniając się wzajemnie i łącząc w całość organiczną i nierozzerwalną. Z całości wieje duch nowoczesny, wyrażający się w traktowaniu orkiestry nawskróś symfonicznem i w roli, jaką autor czynnikowi temu w dziele swem przeznaczają, ujawniając przytem talent niewątpliwy w stosowaniu wielu pomysłów oryginalnych, gwoli uzmysłowienia dźwiękami nastroju sytuacji. Pomyślnie atoli przymioty dzieła p. Melcera mogą znaleźć właściwe uznanie w sferach jedynie fachowych. Dla przeciętnego słuchacza stanowczo ich za mało. Słuchając opery, żąda on, oprócz zadowolenia estetycznego, zarazem i możności skąpania ducha swego w ożywej krynicy melodyi, natchnionych szczerze, pragnie przy-

tem jeszcze, aby te melodie w operze swojej miały charakter swojski. Tęgo mu „Marya“ p. Melcera nie daje w stopniu dostatecznym. Swojskości w niej nie wiele. Wprawdzie tu i ówdzie odezwie się czasem w orkiestrze lub na scenie nuta głębiej odczutego liryzmu swojskiego, w całości atoli partycyi przeważa kosmopolityzm i tematy, czy to nastrojowe, czy melodyjne, czy wreszcie nawet rodzajowe, nie oddalają się w niczem od ogólnie znanego typu muzyki zachodnio-europejskiej, silnie zabarwionego wagneryzmem, a nawet chwilami modernizmem krańcowym. A szkoda! Swojski poemat Malczeskiego z akcją, rozgrywającą się na Ukrainie, przedstawiał pole szerokie, a nadzwyczaj wdzięczne do wyzyskania pierwiastków etnograficznych. Autor jednak, czy nie chciał, czy też nie umiał skorzystać z tego i tem dziełu swemu wiele zaszkodził, pozbawiając je tak potrzebnej rzeczy, jaką stanowi dla każdego utworu scenicznego, popularność wśród mas szerszych, dla których właściwie, a nie dla garstki wybrańców, zazwyczaj jest przeznaczony. Mało tego, nieuwzględnienie przez kompozytora pierwiastku rodzimego przy opracowywaniu tak swojskiego i popularnego przedmiotu, musiało zarazem odbić się na polocie jego twórczym, kępując go niejako w czasie kreślenia partycyi. Trudno wyobrazić sobie, aby usta Maryi, Wacława i miecznika mogły śpiewać coś innego, niż to, co swojskie; to też śpiewają nie wiele. Większą część partycyi solowych wypełnia deklamacja muzyczna, niekiedy nawet silna i pełna wyrazu, przeważnie jednak spokojna, jednostajna w nastroju i rozwlekła, a ztąd koniec końców dość nużąca słuchacza. Partyta orkiestrowa i zespoły chóralskie są nieco obficie wyposażone przez autora w przymioty melodyjności. One też wywierają wrażenie najsilniejsze, pomimo nawet niejednokrotnie dającego się w nich zauważyć niedoświadczenia młodego kompozytora w użyciu niektórych środków techniki kompozytorskiej (np. nadmiernego krzyżowania głosów w chórach lub w zespołach, pewnego przeładowania niektórych ustępów polifonią i t. p.).

Operę p. Melcera wystawiono z dużą starannością. Dekoracje, kostiumy, rekwizyty przedstawiają się bardzo porządnie. Reżyseria i układ sceniczny noszą ślady dobrych chęci i pracy sumiennej. Też same zalety widnieją w przygotowaniu strony muzycznej premiery. Orkiestra i chóry niełatwe swe zadanie spełniają bardzo dobrze, to samo powiedzieć trzeba i o wykonawcach partyi, zarówno głównych, jak i drugoplanowych. Wdzięcznieją postacią tytułowej bohaterki traktuje p. Bohuss-Hellerowa nader ujmująco, trzymając całą rolę w tonie łagodnej tkliwości, zgodnej z charakterem postaci. Doskonale wywiązuje się z zadania p. Leliwa, jako Wacław, dając na każdym kroku dowody wielkiej muzykalności i niezwyklej wytrzymałości pięknego głosu swego. Typową postacią miecznika kreuje z powodzeniem p. Tarnawski. Poprawnym wojewodą jest p. Gorski.

Aby wyczerpać do dna wszystko, co się tycze działalności opery warszawskiej, nadmienić muszę jeszcze o pomyślnych występach dobrej znajomej publiczności naszej, p. Bohuss-Hellerowej. Sympatyczna śpiewaczka, przed kilku już laty, jako jeden z filarów operetki lwowskiej, cieszyła się ogólnem uznaniem naszych słuchaczy, zarówno dla piękności materiału wokalnego, jak i dla dużych zdolności aktorskich i wogóle nader korzystnych warunków zewnętrznych. Te warunki i bogate zasoby głosowe podsunęły jej myśl wystąpienia na szerszą arenę działalności artystycznej i zużytkowania swoich zdolności w operze. Po studiach w tym kierunku we Włoszech talent artystki rozwinął się bardzo pięknie. Głos brzmi obecnie dźwięcznie i równo w całym obszarze skali, dosko-

nale wyrównanej i technicznie wygładzonej. W grze scenicznej zauważyć się daje w porównaniu z tem, co było, również postęp olbrzymi, pozwalający p. Bohuss-Hellerowej podejmować kreowanie partyi, nawet bardzo trudnych i złożonych. Gdy do zalet powyższych dodamy nadto i takie, jak: umiejętność frazowania artystycznego, dużą muzykalność, wreszcie szczerą uczuciowość w śpiewie, dziwić się nie należy, że występy lwowskiej śpiewaczki w „Trawiacie“, „Lohengrinie“, „Pajacach“, „Manon“, „Maryi“ i t. d. wywarły na miłośnikach naszych wrażenie bardzo dla niej korzystne.

Przechodząc następnie do działalności Filharmonii warszawskiej, zaraz na wstępie zaznaczyć muszę, że działalność ta w żadnym chyba z poprzednich okresów sprawozdawczych nie dostarczyła nam tytułu wrażeń podniosłych, ile w omawianym przeglądzie niżej.

Nie mówiąc już o takich siłach artystycznych, jakie przesunęły się przez estradę młodej naszej instytucji muzycznej, jak: śpiewaczki Bellincioni, Trebilli, Cucini, Bréval i Litwinne, skrzypkowie—Kubelik, Barcewicz, Berber, Halir, Burmester i 10-letni Vecsey, pianiści—Paderewski, Hambourg, Schelling, Friedman i inni, o wielu interesujących nowościach, jak: symfonie Straussa, ks. Lubomirskiego, Zygmunta Noskowskiego, Gładznowa i Brahmsa, dość powiedzieliśmy o wieczorach z udziałem „Lutni“ i „Liry“, na których usłyszeliśmy tak podniosłe utwory, jak „Pieśń przeznaczenia“ Brahmsa lub „Antygonę“ Mendelssohna, o koncertach pod kierunkiem Nikischa, Straussa i Humperdincka, o wykonaniu całego szeregu precudnych zabytków historycznych muzyki polskiej, o wieczorze, poświęconym muzyce francuskiej, pod dyrekcją przewodzącego obecnemu kierunkowi muzycznego we Francji, słynnego Wincentego d'Indy i t. d.

O wszystkich tych artystach, nowościach i koncertach niepodobna rozpisywać się szerzej—zajęłoby to zbyt wiele miejsca na łaskawie udzielonych mi szpaltach. Poprzestając przeto na zaznaczeniu ogólnem, że wszystkie koncerty zarówno dla bogactwa i przygotowania programów, jak i dla wartości sił, udział w nich biorących udały się świetnie i dały znakomite wyniki artystyczne, ograniczyć się muszę na zdaniu sprawy jedynie z kilku z nich, mianowicie z takich, na których zajaśniały niepospolitym blaskiem nieznanym nam dotychczas bliżej osobistości wykonawców, bądź też takich, które społeczność naszą powinny zainteresować szerzej. Do tych ostatnich zaliczam wieczór, uświetniony udziałem Paderewskiego, oraz wieczory, na których poznaliśmy dwie nowe symfonie autorów swojskich: Zygmunta Noskowskiego i Władysława ks. Lubomirskiego.

Dla scharakteryzowania zalet gry Paderewskiego nie można posługiwać się zwykłymi okłaskami. Artyzm słynnego pianisty jest tak odrębny od innych wirtuozów, iż przy jego ocenie przeciętna miara upodobań, nawyknień i wymagań nie może być stosowana. Pianistów pierwszorzędnych ze znakomitą techniką, z pięknym tonem i uderzeniem delikatnem, lub obdarzonych siłą tytaniczną i temperamentem namiętnym słyszeliśmy nieraz. Olsnieli oni nas, budzili podziw i zdumienie, ba, entuzjastomowali i porywali, doprowadzając nawet poprostu do szału. Gra Paderewskiego jest inną zgoła: wielki artysta upaja nią, czaruje, wzbudza nastroje poetyczne i uczucia wyidealizowane, to znów jakieś balsamy kojące wsącza do serca słuchaczy. A dzieje się to za sprawą indywidualnego powiewu poezyi, który osobliwym powabem swoim zabarwia wszystkie jego produkcje, dając im wyraz specjalny, nie spotykany w grze innych artystów. W tej to poezyi szczytnej, wyjątkowym objawie samodzielności odtwórczej,

spoczywa tajemnica tego wrażenia olbrzymiego, jakie genialny nasz mistrz wywierał zawsze i wywiera w całym świecie muzycznym i tej sławy, w której, jako w słońcu, chadza. Każdy występ Paderewskiego to prawdziwa uroczystość muzyczna dla rzeczywistych miłośników sztuki, a jak dla nas, to nawet święto, boć rzadkim gościem jest u nas ten najrozgłośniejszy obecnie przedstawiciel sztuki naszej na obczyźnie. Nic też dziwnego, że koncerty z udziałem jego zaliczyć można zawsze do epokowych w dziejach naszej Filharmonii. Takim był dwa lata temu koncert inauguracyjny, gdy mistrz w świeżo wzniesionym gmachu budził dopiero uspięne w nim jeszcze dźwięki, podobnie zapisał się na stronicach naszej instytucji i niedawno drugi występ wielkiego artysty, wyjątkowo świetny i niezatarte wspomnienia w życiu Warszawy po sobie pozostawiający.

Oprócz koncertu z udziałem Paderewskiego szczególne znaczenie dla społeczeństwa naszego, jak to już zaznaczyłem powyżej, miały jeszcze dwa, na których wykonane zostały dwa nieznanne dzieła większych rozmiarów kompozytorów swojskich. Jedno z nich nosi tytuł „Od wiosny do wiosny,” a skomponowane zostało w czasach ostatnich przez znakomitego kontrapunktystę naszego, Zygmunta Noskowskiego. Jak sam tytuł symfonii wskazuje, zamiarem kompozytora było skreślenie szeregu obrazów orkiestrowych, odtwarzających nastroje czterech pór roku. I w samej rzeczy poszczególne części utworu, odpowiadające zwykłym czterem częściom wzoru symfonii akademickiej są zaopatrzone w odpowiednie nagłówki. Pierwsze allegro, utrzymane w barwach pogodnego ożywienia z wdzięczną przymieszką pierwiastku sielskiego, budzi rzeczywiście wrażenie czaru wiosennego. Następne adagio, uczuciowo-melodyjne, maluje urok lata. Scherzo, zawierające w części początkowej pieśń dożynkową, a wypełnione następnie żywymi rytmami kujawiaka, daje nam barwny obraz jesienny wreszcie finał, ponury w nastroju, wybornie symbolizuje zimę z jej śnieżycami i chłodem. Świetne opracowanie techniczne wartościowej partycyi przynosi nową chwałę twórcy „Stepu” i „Z życia.” W formach wspaniałych, pomysłach kontrapunktycznych, w bogactwie kolorystyki orkiestrowej znać w każdym szczególe rękę mistrza, w pełnym rozkwicie talentu, świadomego sił i środków, jakimi rozporządza, a stąd umiejącego wypowiedzieć się mową tonów z prawdziwą jasnością i dokładnością. Na szczególnie zaznaczenie i najwyższe uznanie zasługuje nadto ta okoliczność, że niezależnie od autentycznych tematów ludowych, zużytkowanych przy budowie dzieła, cała muzyczna treść nowej symfonii Noskowskiego opiera się wyłącznie na pierwiastku narodowym.

W porównaniu ze wspaniałym dziełem Noskowskiego zaznaczyła się dość blado druga z poznanych przez nas nowości autorów swojskich, symfonia ks. Lubomirskiego. Nie zbywa wprowadzić autorowi jej na fantazji twórczej i pomysłach oryginalnych; tematów świeżych spotykamy tu obfitość, kombinacji harmonicznych, bardzo interesujących, tudzież pomysłów świetnych kolorystycznych w instrumentacji, którą wogóle nazwać należy bardzo ładną, mnogość wielką, niema jednak w tem wszystkim ładu, niema myśli przewodniej. Na każdym kroku daje się zauważyć niedoświadczenie młodego kompozytora, nie umiejącego jeszcze utrzymać fantazji na wodzy przez rozwagę artystyczną. Jego symfonia nie ma form symfonicznych ani właściwej im symetrii, z wyjątkiem może pierwszego allegro; nie posiada opracowania tematycznego, jest bardzo uboga w robotę kontrapunktyczną, szwankuje bardzo często na punkcie logicznego łączenia szczegółów kompozycji z całością, obfituje wreszcie w spora

ilość pomysłów, powziętych bez widocznego celu, bez kierunku zamierzonego zgóry. Usterki to duże i wykazujące niezbicie, że talent ks. Lubomirskiego nie skryształizował się jeszcze, jak należy, i kroczy jak dotąd, po bezdrożach. Z uwagi jednak na to, że talent ten istnieje, a przytem, sądząc z wyżej zaznaczonych zalet utworu, talent to nietuzinkowy, należy mieć nadzieję, że przy dalszej pracy rozwinię się on własną swą teźżyzną w kierunku pożądanym, czego szczerze ks. Lubomirskiemu życzymy.

Skończywszy z koncertami, obchodzącymi nas bliżej, pozostaje mi jeszcze wspomnieć o paru z nich, na których poznaliśmy nieznanne nam dotąd, a pierwszorzędne znakomości artystyczne. Temi znakomitościami są: śpiewaczka, p. Felicja Litwinne i pianista, p. Mark Hambourg. Oboje tych artystów doskonało rzeczy dawno u nas niewidzianej — pierwszym swym występem podbiło zupełnie i zelektryzowało publiczność naszą, nieco już na punkcie muzyki zblazowaną. Ale bo też oboje mają takie dane po temu, że dziwić się temu trudno. P. Litwinne wzbudza zachwyt przedewszystkiem samym materiałem głosowym i przedziwną pięknoscią sopranem dramatycznym, dźwięcznym wyjątkowo, przepysnie ujednostajnionym w brzmieniu w całej rozciągniętości swojej skali obszernej, bardzo silnym i podatnym do wszelkich zmian barwy. Po za tem wielkie wrażenie wywierać umie nadzwyczajnym mistrzostwem w używaniu wszelkich efektów sztuki śpiewaczki, deklamacyjną uczuciową, niepospolitym smakiem artystycznym, pełnym wykwintu subtelnego, wreszcie szczytnym artyzmem, jakim każdą produkcję swoją krami. Bezsprzecznie, jest to jedna z najlepszych śpiewaczek, jakie wogóle w mieście naszym w ciągu kilkunastu lat ostatnich gościły.

Do takich samych wyjątkowych zjawisk artystycznych należy i Mark Hambourg. Jeden to z największych pianistów tegoczesnych, a niewątpliwie najoryginalniejszy z nich i w swoim rodzaju jedyny. Wirtuoz to, posiadający technikę wszechstronną, bajecznie doskonałą, jakiej żaden z pianistów dzisiejszych nie posiada, temperament, jakiego nikt po Rubinsteinie nie ujawnił, dar osobliwego koloryzowania frazesów muzycznych w sposób, przypominający koloryt orkiestrowy, wreszcie jakąś dziwną oryginalność w wydawnianiu rytmiki i wogóle ducha danej kompozycji. W grze jego, osobliwie w traktowaniu utworów epoki romantycznej, można by się na niejedno nie zgodzić. Ale próżny byłby to trud, czy się kto zgadza, czy nie zgadza; tem, co daje Hambourg, zachwycać się musi — tak go ten dyabelski, jak wyraził się trafnie jeden z krytyków naszych, wirtuoz blaskiem efektów technicznych olśni, temperamentem swym porwie, ognistą interpretacją rozgrzeje, olbrzymią potęgą tonu i nie dająca się opisać sprawnością mechaniczną, oszołomi.

Na zakończenie nieco o nowościach muzycznych. Na tem polu ruch dość duży; wszystkie prawie firmy głównejsze wydawnicze stanęły do apelu i wobec pory karnawałowej wystąpiły z całym szeregiem utworów, przeważnie tanecznych. O zewnętrznej stronie wszystkich tych wydawnictw wystarczy powiedzieć w paru słowach, iż odznacza się ona dużą starannością. Druk, papier, korekta, wygląd estetyczny nie nie pozostawiają do życzenia. Co się tycze doboru kompozycji, to przyznać należy, że został on dokonany ze smakiem, z uwzględnieniem potrzeb chwili i znajomością upodobań publiczności naszej. Na szczególnie wyróżnienie w tym względzie zasługuje wydane nakładem firmy Sennewalda „Album karnawałowe,” zbiór melodyjnych utworów do tańca Richtera, Bouleau i Brzezińskiego z popularnym walcem Komzaka p. t. „Córy badeń-

skie” na czele. Z innych wydawnictw tej firmy wyróżnić należy nadto „Wiązankę melodji swojskich,” przeważnie krakowiaków i mazurów, zebranych i ułożonych przystępnie na fortepian przez W. Osmańskiego, tudzież walca Adolfa Stema p. t. „Bławatek” ze słowami Z. Przybylskiego. Mówiąc o firmie Sennewalda, sądzę, iż nie bez pożytku dla czytelniczek pisma naszego będzie zaznaczyć zarazem, że firma rzeczona otworzyła niedawno dla użytku szerszej publiczności wypożyczalnię nut. Brak podobnej wypożyczalni w mieście naszym dawał się nieraz dotkliwie odczuwać, to też powstanie takiej powitać można ze szczerem zadowoleniem. Z wydawnictw innych firm korzystnie wyróżniają się, jak zawsze, wydawnictwa Gebethnera i Wolffa, tudzież J. Fiszer. Ta ostatnia firma wydała cały szereg popularnych i ulubionych śpiewów, przeważnie z cieszących się powodzeniem na naszej scenie małej operetek. Spotykamy tu wyjątki z „Lisistraty,” „Madame Sherry,” „Ach, ta wiosna” i innych.

„Nowości muzyczne” w dwóch ostatnich numerach wystąpiły z całym szeregiem interesujących utworów na fortepian. Mazurek Marczewskiego, „Romans” Maliszewskiego, walc-barkarola Fr. Bineta, kilka wreszcie kolend w ładnym opracowaniu Wł. Rzepki — oto wiązanka kompozytorów, godnych uwagi każdego miłośnika muzyki. Niezależnie od utworów powyższych, znajdujemy w noworocznym numerze „Nowości” bardzo pożyteczną innowację, mianowicie wprowadzenie działu p. t. „Muzyka dla dzieci.” Dział ten obejmować będzie wybór melodji swojskich, opracowanych przystępnie na fortepian, z których w omawianym numerze wyszło już siedem w opracowaniu redaktora „Nowości,” p. Z. Chojckiego.

St. Dziadulewicz.



Wrażenia z Korei.



Podróżnik angielski Reginald Gasser w ostatnim zeszytzie „Nineteenth Century” opowiada swoje wrażenia z wyprawy do Korei. Jest to jeden z najuboższych i najmniej malowniczych krajów na świecie.

Podróżnik europejski, przybywający do Fusan lub Czemulpo, może się tylko zdumiewać, dlaczego ten kraj budzi zatargi. Japończycy starali się nadać wygląd cywilizowany miastu, ale to tylko pozór. Ulice, architektura domów, sklepy i magazyny przypominają trzecio a nawet czwartorzędne miasta portowe na wyspach Nippon i Kiu-Siu; nie brak jednak dworca kolei, która ma być przeprowadzona z czasem do Seul; przechodzi teraz przez kraj pustynny i urywa się nad brzegiem rzeczki, nie stanowiącej jednak dużej przeszkody.

Rzeka zrasza dolinę, pełną trzęsawisk, zupełnie drzew pozbawioną. Gdzienigdzie sterczą szalasy, zamieszkałe przez włóścian koryjskich. Mieszkańcy miast mają jeszcze nędzniejsze schroniska. O 600 metrów od portu Fusan wznosi się dzielnica krajowców, której Japonia ucywilizować jeszcze nie zdołała. Jest to zbiór lepianek, pokrytych słomianymi strzechami, pozbawionych drzwi i okien. Sześćcioro, niekiedy siedmioro ludzi żyje na przestrzeni, na której jeden człowiek obraca się

z trudnością i za ledwie może oddychać. Trudno sobie wyobrazić, jakie panuje tam niechlujstwo. A obok tych nor, gorszych od chlewów, ruiny pałaców i mury miasta opustoszałego od paru stuleci, świadczą, że ten kraj dziś tak nędzny i ubogi, miał okres świetności.

Od strony Fusan półwysep robi zawsze wrażenie pustyni. Ale gorzej jeszcze przedstawia się podróżnikowi europejskiemu, który wylądował w Czemułpo i stamtąd daży koleją do Seulu. Tor przecina cmentarzyska. Jest to kraj umarłych. Dziesiątki, setki tysięcy pagórków porośniętych trawą, świadczą, że od czasów niepamiętnych koreańczycy układali się do wiecznego spoczynku na tych podmiejskich polach. Wyznawcy Buddy mają zbyt wielką cześć dla zagasłych pokoleń, aby ten spoczynek zakłócać, żadne względy nie zdołałyby ich skłonić do uprawiania pól, zasianych kośćmi przodków; coraz mogiły tula się w cieniu starych pagórków.

Nareszcie Seul! stolica Korei jest wsią, liczącą dwakroć sto tysięcy mieszkańców i opierającą się wytrwale zakusom cywilizacyjnym.

Środkiem ulic płyną rynsztoki, wszelakie nieczystości piętrzą się pod gołym niebem, w miejscach najbardziej uczęszczanych, po deszczu niebrukowane ulice zamieniają się na kałuże, a nad temi bagnami strzelają wspaniałe gmachy. Katedra katolicka, zbudowana z czerwonej cegły, nie odznacza się architekturą, ale imponuje rozmiarami. Siedziby europejskich ambasadorów wyglądają bardzo okazale. Po tych brudnych błotnistych ulicach tramwaje krążą tak szybko, że codziennie przejeżdżają na śmierć kilkoro dzieci, ale miejscowa ludność nie troszczy się o te ofiary, miażdżone kołami cywilizacyjnego rydwanu.

Charakter Koreańczyków jest dziwnym. Stawiają oni czoło życiu i śmierci z obojętnością jednaką. Dają się prowadzić ku „przeznaczeniu”, jak bydło na rzeź. To też sąsiednie narody obchodzili się z nimi zawsze, jak z bydłem, nie mającym świadomości swego upodlenia. Koreańczykowi nie braknie jednak odwagi; przeciwnie dla błahiej przyczyny gotów odbywać pojedynki, zasadzające się na ciskanu sobie wzajem kamieni. Ale ten rosły dzielny zapaśnik, narażający życie w takich walkach, pozwoli się kopać nogami malutkiemu Japończykowi, któryby musiał wskoczyć na stół, żeby sięgnąć do uszu swej ofiary. Byleby nie zmuszano Koreańczyków do wyrzeczenia się olbrzymich kapeluszków i do kunsztownych fryzur, poddadzą się biernie swemu losowi i będą wyczekiwali, które z państw obejmie nad nimi przewagę, choć jedynym żywszem uczuciem w ich sercu jest nienawiść do Japończyków. Nie mogą darować roli, jaką przedstawiciel rządu Mikada odegrał w październikowym dramacie 1895 r., w którym zginęła ich ubóztwiana cesarzowa.



Z listów do „Bluszczu.”



Paryż, w końcu Stycznia.

I zawitał rok nowy, szarzej w mgłę przyszłości długi szereg dni nieznanych, niosących nowe nadzieje, nowe rozterki, nowe bóle i nowe trwogi.

W państwie Trzeciej Rzeczypospolitej ten rok nowy przyniósł niezbite dowody i symptomy przyszłego rozłamu w tej silnie napozór zespolonej partii, której wypadki dały prawo kierowników nad nawą państwową.

I kiedy na Dalekim Wschodzie groźnie zarysowują się starcia żółtej i białej rasy, tutaj wre i kipi nieustanna walka pomiędzy dwoma nie mniej wielkimi potęgami, wiecznie w zapasach będącymi, pomiędzy prastarym władcą dusz — klerikalizmem, a coraz silniej rozwijającą się wolnomyślnością.

I gdy niegdyś sądy starej Francji w salach Chateletu lub w ponurych podziemiach Pałacu Sprawiedliwości torturowały tych, co na jotę od Pisma odstąpić chcieli, dzisiaj rząd przesładuje i wygania tych, co słowa religii głośno wymawiać się odważają.

Walka z klerikalizmem, walka nieubłagana, ciągła, bezustanna toczy się na całej linii, po jednej stronie stoi moc prawa i większości parlamentarnej, po drugiej zaś wielki wpływ na ludzkie dusze do fanatyzmu rozniecający zaprzęgnięta idea, wielkie kapitały i dodajmy stara praktyka, wypróbowana od wieków, walki z wrogiem coraz to innym, ale zawsze osaczającym wysokie bramy teokracji.

Z jednej strony to wszystko, co się dawniej partią konserwatywną nazywało: rojaliści, bonapartyści, umiarkowani republikanie, wszystkie wielkie fortuny kraju, z drugiej prądy postępowe od umiarkowanych radykałów, aż do najkrwawszych komunistów ciska się na siebie, nie szczędząc ani podłości, ani żadnego brudu, który posłużyć może tylko do osłabienia wartości przeciwnika. Na czele tej partii postępowej stoi taki dziwny człowiek, z niczego wyrosły, od wczoraj niemal znany — Emil Combes.

Kiedy Waldeck-Rousseau zapoczątkował akcję przeciw kongregacyom, chodziło jemu i jego partii o zneutralizowanie złego wpływu nauczania klerikalnego, oraz o położenie ręki na tych krocjach milionów, będących w posiadaniu kongregacyi.

Waldeck-Rousseau, jako prawdziwy dyplomata, chciał jednak być ze wszystkimi mniej więcej dobrze, mając na widoku prezydenturę Rzeczypospolitej, nie chciał on oddać się duszą całą skrajnej lewicy; chodziło mu o frakcję centrum, nawet o pewne, mało dbające o kwestye religijne obozy prawicy.

Zamiast więc przeprowadzić do końca zaczęte dzieło, oddał Waldeck-Rousseau rządy p. Combes, o którym wszyscy mówili, że będzie słomianym człowiekiem, pajacem, którego sznurki ciągnąć zawsze będzie Waldeck-Rousseau.

I pojechał sobie były prezes ministrów na wakacje — odwiedzał dwory, przygotowując zawczasu osobiste stosunki na chwilę, gdy przyjdzie zająć w Elizeum miejsce Loubet'a.

Ale śnać zapomniał Waldeck-Rousseau o przysłowiu: *qui va à la chasse, perd sa place...*

Combes poczawszy się u władzy, posunął do ostateczności idee Waldeck-Rousseau, polechtał apetyty skrajnej lewicy, rozniecił zawsze tlejący ogień religijnych nienawiści, a podtrzymany potęgą łóż massońskich, wydał hasło: Hejże na kościół! I poszedł tak daleko, że gdy ujrzawszy co się dzieje, przybiegł Waldeck-Rousseau, ujrzał w Combesie hardego sługę, który nie tylko wyrzekł się swego

pana, ale co ważniejsze, zadał mu ciężką moralną porażkę, osłabił jego wpływ, a przez koalicję frakcji lewicy utrzymuje się *quand même* przy większości, choćby ta większość przedstawiała dwa głosy!

Dawniej ministerya podawały się do dymisji przy jedenastu głosach większości. Rządy Combes'a będą pamiętne w historii Francji.

To trochę terror, tylko bezkrwawy, a jak świetnie zawołał niedawno Ribot: „Są jeszcze ministrowie, ale niema już rządu.”

I dzisiaj owa koalicja p. Combes'a zarysowuje się, jak gmach źle zbudowany.

I padnie, runie niezawodnie, pociągając za sobą tego człowieka, który zasłynie w historii z tej arrogancji lokaja, grającego rolę pana; napuszony, przypominający co chwila swe zasługi, kontentujący się kompromitującą większością, Combes jest typem człowieka, który dorwawszy się do władzy, żadną miarą opuścić jej nie chce, znosząc wszystkie kopnięcia bez godności, bez ambicyj, mówiąc sobie: „Wy plujecie — ale ja panuję.”

Ostatnio, w czasie wyborów na wiceprezesa Izby, przepadł Jaurès, ów prowodyr socjalistów — racya bytu Combes'a. Ta klęska Jaurès'a, to mina podłożona pod pyszałkowaty tron Combes'a. I chociaż do tomu jego mów, wygłoszonych w różnych okazjach, napisał Anatol France znakomitą przedmowę, z mów tych właśnie przebijają jedno: granie na niskiej strunie schlebiania tym, którzy w imię wolności, z dziką i niezrozumiałą nietolerancją szarpia religię, jako największego wroga. Ale najlepszym znamieniem nietaktu politycznego Combes'a jest świeżo zaszła w Luneville sprawa wydalenia z granic Francji deputowanego alzackiego, księdza Delsora.

Delsor przybył z Alzacji i w dwanaście godzin po przybyciu otrzymał rozkaz prefekta, aby opuścił natychmiast granice Francji.

Fakt ten wywołał szalone i słuszne oburzenie. Niedawno z trybuny parlamentarnej wódz socjalistów nazwał marzenia o odzyskaniu Alzacji i Lotaryngii nieziszczalną mrzonką, teraz prezes ministrów wydalil z granic Francji, księdza francuzkiego, Francuza z zabranych prowincyi.

Organy nacyonalistyczne napadają z całych sił na rząd, pisma zaś rządowe przytaczają całe ustępy z artykułów i mów księdza Delsora, utrzymując, iż jest on zaprzędnym rządowi niemieckiemu, że przyjechał do Francji, jako agitator religijny i reakcyjny.

W tym samym duchu przeprowadził w Izbie kampanię Combes i pomimo gwałtownej opozycji prawicy, przeprowadził porządek dzienny, przyznający rację rządowi.

A morał tego?

Ten, że Francya, a raczej większość parlamentarna dobrowolnie potwierdziła traktat Frankfurcki, uznając rozdzielnosc oficjalną pomiędzy Francją a zabranami prowincjami.

Zapewne, że akcję tę przeprowadzono na tle walki z klerikalizmem, ale fakt zostaje faktem: Francuz-Alzateczyk został wypędzony z tej samej Francji, której był obywatelem przed pogromem z 1870-go roku.

Polityka Combes'a nie będzie szczęśliwą dla Francji przyszłości: jej walka z klerikalizmem, jest walką, której owoce będą zgubnemi dla przyszłych pokoleń, bo w tej Francji, będącej dzisiaj stkiem wszystkich wyuzdań, której jedynymi bogami są pieniądze i użycie, zatracają na zawsze ostatni hamulec, który zwłaszcza dla kobiet tutejszych był koniecznym — religię.

Francuzka pusta, płytka z natury, rzuca się w życie z jedną myślą: użyć jak najwięcej. Dzieckiem trzymana w surowych korbach, jako panna nie mająca żadnej roli społecznej, pozbawiona niemal głosu nawet w wyborze męża, gdyż małżeństwo jest tu aferą, układaną przez pośredników, a decydowaną najczęściej przez notaryuszów obu koczujących się rodzin, kobieta francuzka, której nie

nie wolno, dopóki jest panną, staje się panią wszechwładną swjej woli, skoro jest mężatką.

I dlatego żaden kraj chyba nie liczy tylu wiarołomstw, co Francya.

Historję każdego kraju można zawsze komentować rolą społeczną, odgrywaną w tym kraju przez kobiety.

Kobieta francuzka od końca XVIII-go wieku, od epoki Regencyi, od zupełnego rozluźnienia obyczajów z czasów Ludwików, przechodząc przez dzieje lekkich obyczajów za obu Cesarstw, aż do dni naszych, zstępuje coraz niżej, nie tylko pod względem moralnym, ale i umysłowym.

To nie garść wybitnych bohaterek czy artystek (a tych tak mało zresztą) decyduje o poziomie intelektualnym masy i o ile u nas dzięki starannemu wychowaniu domowemu, kobieta polska jest przeciętnie wykształceńszą od mężczyzn, oddanych specjalnej pracy, zacieśniającej zwykle krąg naszego widzenia, o tyle Francuzka stoi o wiele niżej pod względem wychowania i wykształcenia od Francuza.

Ta płytkość intelektualna odbija się na wszystkich obyczajach, na całym życiu Francyi, na tych nieskończonych zewnętrznych formach, na tej zdawkowej grzeczności, papuzio powtarzającej bez myśli te same frazesy.

I jeżeli Francuzce odbierze się jeszcze religię, zapędzając ją do szkół laicznych, to uczyni się z niej ten typ tak dzisiaj tu częsty, istoty bez steru i celu w życiu.

Czem jest kobieta we Francyi, maluje najlepiej ostatni skandal, jaki się rozegrał przed paru dniami w redakcyi „Action“, pisma anarchiczno-socyalistycznego, stworzonego do walki z klerykalizmem, na czele którego stał były ksiądz, otoczony ludźmi, którzy nawet w swej partyi zyskiwali tylko pogardę.

Po zwinięciu „Frondy“, pisma dla kobiet, prowadzonego jedynie przez kobiety, dyrektorka tego pisma, znana tu bardzo p. Margueritte Durand, została przewodniczącą Rady zarządzającej „Action“ i przyjaciółką jej redaktora. Obecnie p. Durand wyrzuciła drugiego współredaktora, a ten w innym organie partyi anarchicznej, „Raison“, rozpoczął naturalnie obrzucać błotem dawnych towarzyszy i wywlekać różne skandale, dotyczące się ich osób.

Oto dowiadujemy się, że pani Durand, ta przewodnicząca ruchowi feministycznemu we Francyi, napisała następujące słowa: „Bądź co bądź, feminizm we Francyi wiele zawdzięcza moim blond włosom i uważam to za rzecz tylko zaszczyt mi przynoszącą.“

Przewodnicząca ruchowi emancypacji kobiet, czerpie źródła swych dochodów z nader brudnych źródeł, ogłasza *urbi et orbi*, że dzięki właśnie swemu nader swobodnemu życiu, sprawie tej przynieść mogła pożyteczny udział!

A jednak były tu kobiety bez skazy, których śmierć w tym ruchu emancypacyjnym wielki wyłom uczyniła.

Taką była niedawno zmarła księżna Gabriella Wiszniewska, z domu Hugot, żona znanego w szerokich kołach arystokracji francuzkiej i włoskiej, księcia Adama Wiszniewskiego, przyjaciela króla Oskara szwedzkiego.

Księżna Wiszniewska była założycielką i przewodniczącą „Alliance des femmes pour la propagation de la paix par l'éducation“, stowarzyszenia, mającego obecnie we wszystkich zakątkach świata członkinie, w ogólnej cyfrze 5 milionów.

Pięć milionów kobiet należących do tego stowarzyszenia, poczętego i kierowanego przez zmarłą księżnę, uczy we wszystkich krajach dzieci swe miłości bliźniego i wszczepia od zorzy ich dni uczucia pokojowe i braterskie, które niechybnie w przyszłości lepszy plon przyniosą, od wszelkich konferencyi dyplomatycznych, odbywających się przy drzwiach strzeżonych przez wojsko.

Księżna Wiszniewska potrafiła skupić w krótkim czasie nie tylko taką kolosalną wprost liczbę uczestniczek, ale wpłynęła pośrednio na rozwój poczucia swjej siły u kobiet egipskich, tureckich, arabskich, wybierając umiejętnie wśród nich wybitne jednostki, które rozpowszechniając ideę pokoju, rozbudzały w ogóle spiące indywidualności swych siostr. Przy współdziałaniu męża swego, posiadającego we wszystkich krajach i przy wszystkich dworach ogromne stosunki, doprowadziła księżna Wiszniewska do tego, że w Hiszpanii np. księżna infantka Eulalia objęła protektorat honorowy nad Towarzystwem, a wiele dam z rodzin panujących wchodzi dzisiaj do związku.

Niesłychanej energii i dobroci, księżna Wiszniewska umiała zjednywać sobie tylko przyjaciół, dzięki taktowi swemu i wielkiej umiejętności życia. Strata jej jest niepowetowaną dla Towarzystwa, którego była duszą.

Po śmierci jej, komitet postanowił zostawić nazwisko jej w tytule Towarzystwa, obrał na prezesa honorowego księcia Wiszniewskiego; na przewodniczącą komitetu powołano p. Maryę Szeligę-Loevy.

I druga kobieta wysokich zalet, której rola historyczna znamieną była przez chwilę we Francyi — księżna Matylda Bonaparte, przeniosła się do wieczności. Zeszedł z nią do grobu wielki fragment epepei Napoleońskiej, jedna z najtypowszych reprezentantek tego rodu, który błysnął, jak piorun nad Europą, aby zginąć i zwiędnąć w ciszy zapomnienia.

Córka króla Hieronima i królowej Katarzyny Württembergskiej, księżna Matylda odegrała wielką rolę w czasach drugiego Cesarstwa; można powiedzieć, że to wszystko, co tylko uczyniono rozsądnego w tej epoce, ona natchnęła wielkim swym talentem i rozumem.

Napoleon III-ci dwukrotnie prosił o rękę swej pięknej kuzynki, i kto wie, czy postać Europy i losy Francyi nie byłyby inne, gdyby małżeństwo to przyszło do skutku.

Księżna Matylda przyjmowała wiele i aż do ostatnich czasów salon jej jednoczył obok starych wiernych weteranów Cesarstwa, najprzedniejsze nazwiska ze świata literatury i sztuki.

Czasami umiała księżna Matylda dosadnym słowem dać wyraz prawdzie, którą czciła nad wszystko.

Znanem jest jej powiedzenie do jednego z krewnych przed biustem Wielkiego Napoleona:

— Gdyby on nie był istniał, może sprzedawalibyśmy dzisiaj pomarańcze w Ajaccio.

Była ona usposobieniem jakiegoś ogromnego odłamu historii, jakiejś bajecznej legendy i tylko ten, kto ją znał, może sobie zdać sprawę z tej postaci, ostatniej z orlego rodu.

Takich kobiet coraz mniej we Francyi; dzisiaj sławniejsze są wszelkie damy półświatka i piękne artystki, to też dopiero śmierć przypomniła Francyi tę, o której względy i łaskę ubiegali się niegdyś wszyscy.

We Francyi jest jedno dobre: wielkie epepeje nie kończą się nigdy. Zawsze się znajduje ktoś, co odegrzeje to, o czem wszyscy zapomnieli, i wzniesi, jako nowe, to, co znanem już było do przesyty, i co dziwniejsze, zawsze się znajdzie posłuch i zajęcie, jeśli tylko sprawa zatraca skandalem, brudem, kompromitacją dla wysoko postawionych figur.

I tak odżyła sprawa Dreyfusa, owa słynna sprawa, rozpalająca zawsze prawie wojnę cywilną we Francyi, rozbudzająca namiętności aż do zbrodni, niezem niezasklepią rana, ciągle otwierana przy każdym starciu dwóch partyi: postępowej, internacyjonalnej, i konserwatywnej, antysemickiej i nacyonalistycznej.

Rewizya procesu Dreyfusa!

Trup Zoli drgnął radośnie w grobie, gdy go z dołu ulic szumiących doleciał głos kamelota, pędzącego z mokrą bibułą wieczornych wydań.

I znowu stanie przed sumieniem Francyi pytanie: czy Dreyfus był winien? czy był on zdrajcą? czy też przeciw niewinnemu, okrutnie ztorturowanemu moralnie i fizycznie, uknuto spisek zbrodniczy, aby ukryć odpowiedzialność o wiele większych i potężniejszych od niego.

Poleje się morze atramentu; oby nie polała się krew!

Niezmiernie ciekawym i znamienym faktem jest rozłam coraz wyraźniejszy w partyi ministeryalnej, rozłam, który może uwolnić nakoniec Francję od rządów p. Combes'a.

Niedawno z trybuny oznajmił Combes z powodu zatargu i ogromnej różnicy zdań pomiędzy Peletanem a Rouvierem, że gabinet nie koniecznie składać się musi z ludzi jednokowych przekonania.

Obecnie znowu rozłam w prassie ministeryalnej pomiędzy „Action“ i „Raison“, pokazał cały stek brudów, któremi się niedawno tak ściśle skupieni panowie ci wzajemnie obrzucają; z kłótni tej wynika, że senator Delpech był wraz z całą „Action“ przekupiony przez grupę giełdjarzy, walczących przeciw kantorom bankierskim.

Kiedy wilcy między sobą się gryzą i zamiast uznać się za spokojnych wilków, pozerają się między sobą, widok to bardzo uciechający, bo widzi się obecnie jaśniej, niż kiedykolwiek, co warci są ci ludzie, którzy wszędzie tylko fałszerstwa i oszustwa widzieli w partyach przeciwnych, a dzisiaj sami swoje moralne rany przed całą Francją odkrywają.

I taka banda zwyczajnych łotrów i opryszków, rozbijających kościoły, zarządzających manifestacje w kościołach, zabraniając księżom wygłaszać kazania, taki stek ludzi bez nazwy i sumienia, stanowił przyboczną gwardyę ministeryum Combes'a i wygłaszał słuchane przez Europę, bo inspirowane przez prezydenta gabinetu opinie i zdania!

Cieszyć się można tylko z tej kompromitacji gabinetu i dziwie gangrenie, rozkładającej ciało Francyi.

Ostatnie dni przyniosły znów jeden dowód rozłamu w partyi ministeryalnej w komentarzach do historii milionów po Chilijce, panie Cousino, zmarłej w jednym z klasztorów tutejszych.

Podobno śmierć tej młodej dziewczyny była nader tajemniczą, a że miliony zostawiła niejakiemu p. Gosselin, którego nawet nie znała, „Action“ i „Matin“ rozpoczęły kampanię.

Dowodzono, że młodą milionerkę siostry zakonne otruły, że zmusiły ją do zapisania całej swej fortuny na rzecz p. Gosselin, który jest bankierem kongregacji. Nawiasem mówiąc, ten ostatni zrzekł się zapisu.

Otóż prokurator Francyi, Bulot, wezwany przez ministra sprawiedliwości, oświadczył, że nic w całej tej sprawie nie widzi zdrożnego. Naturalnie, jest on teraz przedmiotem napaści, bo jakże jakiś dygnitarz Rzeczypospolitej może widzieć „nic zdrożnego, w postępowaniu klerykałów!... Więc huzia na Vallée'go i na Bulot'a, a napadają na nich nawet pisma ministeryalne, jak „Matin“ i „Action.“

Od tych czarnych kart współczesnej historii francuzkiej, przechodzę do zdania w paru słowach sprawy z sezonu koncertowego, bardzo ożywionego w tym roku.

Przedewszystkiem zaznaczam pełne niesłychanego powodzenia koncerty Bronisława Hubermanna.

Z cudownego dziecka wyrósł artysta wielki, pełen głębokiego zrozumienia sztuki, myślący i poważny. Nie jest to wirtuoz zadziwiający i oszałamiający apokaliptyczną spra-

wnością palców, ale artysta dojrzały, szukający istoty odtwarzanych utworów, dbały o ich myśl i styl.

Ton Hubermanna zadziwia olbrzymią swą głębokością i wielkością — wiolonczelowy to niemal ton, a rzewny i pełny.

Hubermann wlewa duszę w swe skrzypce, zrasta się z niemi, pieści je, tuli i na strunach własnej zda się grać duszy. Porywa on i wzrusza do głębi, a takie dzieła, jak Bacha i Chopina, wypiewał mistrzowsko.

Wielki to artysta i słusznie przepowiada mu autor artykułu w „Musica,” że stanie on niezadługo w rzędzie najpierwszych, jako wielka gwiazda w konstelacji, w której lśnią tacy, jak Paderewski, Sarassate lub Kubelik, od którego o wiele wyżej stoi już dzisiaj głębią odczucia. Publiczność przyjmowała Hubermanna z finezyą, osypując go deszczem kwiatów, rzadkiem tutaj objawem zachwytu.

Z powodzeniem grał tu też Gabryłowicz, którego gra twarda i sztywna, biegła, ale zimna, nie porywa nigdy.

Toż samo powiedzieć można o Jakóbie Pintel, prawie miernym pianiście.

Doskonałym był koncert p. Gerdy Magnus, gdyż występował obok tej dobrej pianistki znakomity baryton-bas Ludwik Frölich, Duńczyk, obdarzony kolosalnym i aksamitnym głosem, doskonale odtwarzającym klasyczny repertuar, jak np. arye Bacha.

Niezmiernie interesującym był również koncert p. Wandy Landowskiej, znanej pianistki i kompozytorki.

Cały wieczór poświęciła ona Bachowi, odgrywając jego utwory na fortepianie i na starym szpincie. Pod artystyczną jej dłonią lekkie, śpiewne a drżące szły tony tych tak prostych a tak nadzwyczaj subtelnym melodi, których właśnie klasyczny spokój, rytmikę i charakter doskonale zachować umie p. Landowska, dzisiaj niemal specjalistka w interpretacji Bacha.

Drugą niemniej znakomitą interpretatorką tego genialnego kompozytora, dla którego kult coraz szerszym staje się we Francji, jest profsorka Scholi Cantorum, panna Blanche Selva, która w szeregu koncertów odtwarza wszystkie dzieła Bacha.

I ona zadziwia spokojem klasycznym, elegancją i finezyą dotknięcia, subtelnością pojęcia i odczucia, oraz pogodą i rytmiką z jaką wykonywa te preludia, fantazyje i fugi; zmuszona często do ich bisowania.

Ten hołd dla Bacha, przydałby się i u nas, gdzie przecież ogół publiczności o wiele artystycznej i subtelniej odczuwa i mistrzów, i odtwarzane przez nich dzieła, aniżeli we Francji, gdzie przedewszystkiem zadziwiać potrzeba sprawnością palców.

K.D.-S.

Kronika działalności kobiecej.



— **Francya.** W Uniwersytetach francuzkich 43 kobiety studyują prawo z zamiarem poświęcenia się karyerze adwokackiej. Obecnie trzy kobiety praktykują we Francji jako adwokaci i mają ustaloną bardzo dobrą opinię i poważną klientelę: panna Chauvin, pani Petit i panna Dilhan.

— W Akademii sztuk pięknych w Paryżu zapisało się w ciągu ostatnich tygodni 13 kobiet do klasy malarstwa i trzy do klasy rzeźby.

— Malarz Cesborn założył w Paryżu specjalną szkołę malowania kwiatów. Urządził swoją szkołę w najodpowiedniejszym miejscu, t. j. w Auteuil, wśród plantacji i oranżeryi, należących do miasta Paryża. Zarząd miasta ofiarował Cesbornowi duży gmach oszklony

i wszystkie aleje plantacji na użytek szkoły, tu więc w pośród najwspanialszych roślin i kwiatów miejscowych i egzotycznych, profesor Cesborn prowadzi wykłady, na które obok takich artystów, jak: Quinost, Rivoire, Lalique, Grasset i wielu innych, uczęszcza ogromna liczba uczennic. Młode artystki czerpią studia z natury, a dla gruntowniejszego obeznania się ze światem flory, słuchają na miejscu wykładów botaniki, prowadzonych przez zdolnego specjalistę. I to wszystko — bezpłatnie. Zaiste, Francuzi wiedzą, w jaki sposób hodować i rozwijać sztukę.

— Odbyło się ogólne zebranie przedstawicieli różnych związków i stowarzyszeń kobiet francuzkich. Znane z gorliwej działalności i panie: Avril de St-Croix i Pognon, zostały delegowane na zjazd międzynarodowy stowarzyszeń kobiecych, mający odbyć się w Berlinie. Sprawozdania z rozmaitych sekcji (wychowawczych, poprawienia losu robotnic, walki z alkoholizmem, organizacji szkół ludowych, opieki nad sierotami i dziećmi rodziców pracujących i t. d.), wykazały niezmiernie podniesioną działalność kobiet francuzkich na wielu drogach, dawniej we Francji leżących odłogiem.

— Na skutek wniosku pani Oddo-Deflon postanowiono wystąpić energicznie przeciw naklejaniu nieprzyzwoitych afiszów na murach i kioskach, oraz przeciw nazbyt drastycznym ilustracyom w pismach. Z wnioskiem tym solidaryzuje się gorąco Ludwik Comte, redaktor pisma „Relevement Social“ („Podniesienie socyalne“).

— **Austro-Węgry.** Na skutek prośby podanej przez kobiety, wydane zostało rozporządzenie ministeryalne, nakazujące otwarcie przy szpitalach: ogólnym, szpitalu Zofii, Wilhelminy, Franciszka-Józefa i Rudolfa kursów dla dozorczyń i felczerek.

— **Peszt.** W najlepiej urządzonym, pierwszorzędnym zakładzie hydropatycznym w Peszcie, kierowniczką oddziału dla kobiet została doktor Joanna Ræz-László, której mąż, jeden ze znanych lekarzy w Peszcie, jest głównym kierownikiem całego zakładu.

— **Szwajcarya.** Na wydziale filozoficznym Uniwersytetu w Bernie, panna Marya Joachimi z Nordhausen z niezwykłym powodzeniem, bo *summa cum laude* złożyła egzamin na stopień doktora filozofii.

— **Japonia.** W pierwszym Uniwersytecie w Japonii, do którego dopuszczone są też kobiety, istniejącym w Tokio od dwóch lat, uczęszcza kobiet 800.

Z. S.



Nasz ul.



— Ministeryum Oświaty wyjaśniło, że osoby posiadające dyplom nauczycielki domowej, mogą w szkołach początkowych wykładać wszystkie przedmioty.

— Wśród grona pań warszawskich powstał projekt założenia w Warszawie sklepu dobroczynnego z artykułami spożywczymi, których dostarczać mają obywatelki ziemskie, również uczestniczki przedsięwzięcia. Cały zysk czysty ze sklepu ma być przeznaczony na opłacanie wpisów za niezamożne uczennice warszawskich szkół żeńskich.

— Rzadki w dziennikarstwie jubileusz, gdyż 35-letniej pracy dziennikarskiej i redaktorskiej, obchodził w d. 22-im b. m. redaktor „Kurryera Porannego,” Felix Fryze. Uroczystości jubileuszowe rozpoczęło nabożeństwo uroczyste w kościele św. Józefa Oblubieńca, poczem Jubilat w salonach redakcyi przyjmował życzenia od współpracowników i znajomych. W czasie tym wręczono mu, jako dar od współpracowników, złote pióro. Wieczorem, w salonach Stepkowskiego odbyła się uczta składkowa, urządzeniem której zajmował się specjalny komitet obywatelski podczas której wygłoszono wiele pięknych mów.

— Kijowskie Towarzystwo literacko-artystyczne wybrało Maryę Konopnicką na swego członka honorowego.

— Francuzka Akademia Nauk ścisłych nagrodę Lallemanda przyznała p. J. Jotejkównie, kierownicze psychofizyologicznego laboratorium przy Uniwersytecie w Brukselli, za jej prace o nerwowości.

— Palmy akademickie francuzkie zdobyli w bieżącym miesiącu następujący rodacy. Oficerami „de l'instruction public“ zostali: prof. Bol. Korzeniowski i G. H. Niewęglowski, tytuł oficerów Akademii otrzymali: d-r Edward Orłowski w Mondoubleau, J. Godebski w Paryżu, publicysta Kamil Gronkowski w Paryżu, M. Strzelecki w Brest, Zygmunt Gasztowt w Cholet, Stanisław Zwierzyński w Paryżu i panna Helena Piędzicka w Charenton. P. Bolesław Niewęglowski, inspektor Académie de Paris, został inspektorem generalnym matematyki.

— Na tegorocznej wystawie wszechświatowej w St. Louis, w austryackim oddziale sztuk pięknych, między innymi pokażne i pocześniejsze miejsce zajmie „Sztuka“ krakowska. Zorganizowanie jej powierzono p. Julianowi Falatowi, dyrektor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

— W dniu 22-im b. m. zmarł nagle na stacyi Konopnica, jeden z najwybitniejszych ziemian naszych, ś. p. *Tadeusz Kowalski*. Urodzony w roku 1842-im w Warszawie, nauki pobierał w Instytucie rolniczym w Marymoncie, oraz na Uniwersytecie w Getyndze. Powołany na profesora Instytutu politechnicznego i rolniczo-lesnego, przez lat dwanaście pozostawał na tem stanowisku. Napisał wiele dziełek z zakresu rolnictwa, wraz z p. Alexandrem Trylskim redagował „Gazetę Rolniczą.“ Piastował również godność rady Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, na którym to stanowisku rozwinął nader pożyteczną działalność.

— W Warszawie zmarła w wieku lat 77, ś. p. *Julia z Bąkowskich Baranowska*, żona zasłużonego prof. Ignacego Baranowskiego, niegdyś towarzyska i przyjaciółka Narcyzy Żmichowskiej, z którą utrzymywała pensję żeńską przed rokiem 1863-im.

— W Warszawie zmarł ś. p. *Konrad Dzierżowski*, wieloletni nauczyciel języka polskiego w gimnazjum plockim, ostatnio w Szkole technicznej w Skierniewicach. Żył lat 67.

— W dniu 19-ym b. m. zmarł w Warszawie ś. p. *Józef Huss*, znany w szerokich kołach naszego miasta budowniczy. Podług planów jego wzniesiono w naszym mieście cały szereg okazałych gmachów. Żył lat 57.

— W Petersburgu zmarł w wieku lat 53 ś. p. *Zygmunt Woysław*, wybitny inżynier górniczy i ceniony geolog. Zmarły był professorem w Instytucie górniczym, a następnie w takiejże Akademii w Moskwie. Ś. p. Woysław kierował też przez lat wiele czasopismem Towarzystwa inżynierów górniczych, i wydał kilka popularnych podręczników szkolnych z zakresu geologii.

— W Krakowie zmarł ś. p. *Kazimierz Wakulski*, artysta-rzeźbiarz i snycerz. Zmarły wykonał wiele prac artystycznych w Galicyi. Żył lat 67.

— W Paryżu zmarła ś. p. *Wanda Nałęcz-Zawistowska* b. artystka Teatru lwowskiego, stypendystka galicyjskiego Wydziału krajowego. Zmarła zapowiadała wielki talent śpiewaczy, lecz zmożona ciężką pracą dziennikarską, jako korespondentka i tłumaczka dla paru pism, nie mogła dokończyć studyów i zgasła w kwiecie wieku, przeżywszy zaledwie lat 24.

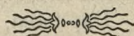
Pszczoła.

Treść numeru:

W ważnej sprawie (o wyższe kursa dla kobiet), przez Tadeusza Radwańskiego.— Pogawędka, przez Artura Gliszczyńskiego.— Wnuczka (nowella), przez Halinę Adę (dokończenie).— Na progu tajemnic (wiersz), przez W. D.— Historia kobiety, studjum historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy).— Nasz Kwestyonaryusz macierzyński (ciąg dalszy).— Drobnostki, przez M. K. (dokończenie).— Przegląd muzyczny, przez Stanisława Dziadulewicza.— Wrażenia z Korei.— Z listów do „Bluszczu:“ z Paryża, przez K. D.-S.— Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Nasz ul, przez Pszczołę.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz dziewiąty powieści „Miłość moim grzechem.“ w przekładzie z francuzkielego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 24).— Rady praktyczne, oraz Tablica krojów.



„Kuryer Codzienny“

Pismo Społeczno-Literacko-Polityczne

pod redakcją STANISŁAWA LIBICKIEGO.

W roku bieżącym drukować będzie słynne

KRONIKI TYGODNIOWE BOLESŁAWA PRUSA

tegoż autora:

KARTKI Z PODRÓŻY.

Od Nowego Roku „KURYER CODZIENNY“ drukuje nadzwyczaj interesującą powieść społeczno obyczajową na tle stosunków żydowskich p. t.:

ŻYDZI

napisaną przez **Michała Muttermilcha** znanego estetyka i nowelistę zamieszkałego w Paryżu.

Jako PREMIUM BEZPŁATNE

„KURYER CODZIENNY“ da 12 TOMÓW (120 arkuszy) najcenniejszych utworów literatury swojskiej i zagranicznej, między innymi znakomitą powieść **T. T. JEŻA USKOKI,**

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU.

Wybór pism **LUDWIKA SZTYRMERA** p. t.:

„Powieści nieboszczyka pantofla“,

PAWŁA BOURGETA p. t.:

CICHA WODA i inne.

Cena prenumeraty: W WARSZAWIE: Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50. NA PROWINCYI z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kóp. 25. — Za odnośnienie do domu kop. 10 mies.

ADRES: **Krakowskie Przedmieście Nr. 17.**

ZAKŁAD HODOWLI DROBIU RASOWEGO

Izabelli Ryxowej

w Prażmowie, p. Grójec (g. Warsz.), ma:

do Sprzedania.

1) **Indory** brązowe, amerykańskie i **indory** czarne, francuskie, Solońskie, zahartowane na deszczu, rosie i mrozie. Cena 10 rb. sztuka. 2) **Gąsior** rasy Emdeńskiej, wielkie, śnieżnobiałe, tegorocznego legu, wyborne reproduktory dla odświeżania krwi. Cena 8 rb. sztuka. Indyki i gęsi (samice) tychże ras na sprzedaż przeznaczone, już wszystkie wyprzedane.

33 NOWY-ŚWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. **Albumy do kart** pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.

Przegląd Pedagogiczny

Dwutygodnik, poświęcony wychowaniu domowemu i szkolnemu.

Niezbędny zwłaszcza dla matek i nauczycieli domowych.

Wychodzi rok 23-ci.

Prenumerata kwartalna: w Warszawie rb. 1.50; z przesyłką poczt. rb. 1.75.

III-ci rok wydawnictwa

Wychodzi dwa razy na miesiąc, objętości 96 — 112 str. wiel. form.

Biblijoteka Samokształcenia

Zawiera artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin nauki; w dziale książkowym: dzieła i studia obszerniejsze.

Wyszedł № 1. Zawiera: **Od redakcji** — St. Kucharskiego: **Nauka a natchnienie** — D-ra Piotra Chmielowskiego; **Pierwsza kartka historii religii** — Ign. Radlińskiego; **Eug. Dühring** — D-ra H. Höffdinga.

W dziale książkowym: **Wyższe wykształcenie kobiet, a współczesna nauka uniwersytecka** z dodaniem uwag **O zasadach przewodnich samokształcenia i samokierownictwa duchowego** — D-ra Eug. Dühringa.

Biblijoteka ogłosiła konkurs 500 rublowy dla prenumeratorów na wybranie „złoty myśli“ zawartych w dziełach wysłanych w Biblijotekę. **Termin 14-go Września.** Komplet Biblij. Sam. z 1903 roku do nabycia jeszcze po cenie redakcyjnej.

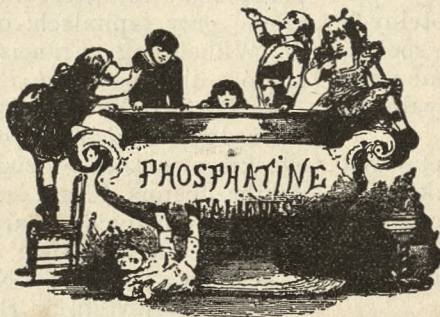
Z roku 1902 komplety są już wyczerpane.

Pojedyncze książki do nabycia w księgarniach.

Prenumerata: rocznie 6 rb., półrocz. 3 rb., kwart. 1.50 rb.; z przesyłką: 8 rb., 4 rb., 2 rb.

Dla kształcącej się młodzieży 50 kop. miesięcz. w miejscu.

Redakcja: **NOWY-ŚWIAT 37.**



Fosfatyna Faliera,

przyjemny pokarm najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. **Ułatwia ząbkowanie i zapewnia prawidłowy rozwój kości.**

Sprzedają w składach aptecznych i aptekach.

Dr. H. ZAMENHOF

specjalnie choroby skóry i włosów.

Orla 12 do 10 r. i od 4—6 p. p.

GORSETY MODERNE

ze sprężynkami nie łamiącymi się nigdy.

GORSETY MODERNE

z fiszbinami. Fason ten podług modeli paryzkich urabia figurę do wymagań mody, jest niezwykle wygodny.

Mme ANNA

Marszałkowska 145 (wprost Hersego).

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

„HELENY“

Wielka 40 m. 20.

Fasony podług modeli paryskich wykonywa po cenach przystępnych.

Sanatogen

Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i Ski** w opakowaniu rosyjskim.

Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

Broszury na żądanie bezpłatnie.

S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.